





<http://rcin.org.pl>

**PRACE**  
**DRAMATYCZNE**

**J. S. JASINSKIEGO.**

---

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

---







*Scena XV.*

**J.P. Kostecka** / *w roli P. Walker w hem: Ope. Podstarzala panina*

*Umiesz ty robic czapeczki dziecinne ?*

*Tom XIII Prac Drama. J. S. Jasirskiego.*



Egz. archiwalny IBL

**P R A C E**  
**D R A M A T Y C Z N E**

TEUMACZONE I ORYGINALNE

**J. S. JASIŃSKIEGO**

**A. D. T. W.**

**Tom XIII.**

**W A R S Z A W A .**

---

**1839.**

# SPIS SZTUK

W TOMIE TRZYNASTYM ZAWARTYCH.

1. *Bandyta*, drama we 2ch aktach : . . . 1.
2. *Podstarzała panna*, komedjo-opera  
w 1 akcie . . . . . 85.
3. *Jedna za drugą*, komed., we 3ch aktach 161.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-030 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-01 w. 42

# BANDYTA.

D R A M A

W D W Ó C H A K T A C H

*z Niemieckiego*

T Ł U M A C Z O N A .



*Przypisek wydawcy.*

*Drama Bandyta, przedstawiana w Wielkim Teatrze jest tłumaczoną z francuzkiego. Mam jednak nadzieję, że Szanowni Prenumeratorowie, przyjmą łaskawie moje tłumaczenie téjże dramy, z niemieckiego, podług oryginału angielskiego p. Planché.*

<http://rcin.org.pl>

## O S O B Y.

|                                    |                           |
|------------------------------------|---------------------------|
| <b>MARKIZ BIANCHI,</b>             | <b>JP. Werowski.</b>      |
| <b>OKTAVJA, jego siostrzenica,</b> | <b>JPa. Złotoszewska.</b> |
| <b>HRABIA CARAFFA,</b>             | <b>JP. Buliński.</b>      |
| <b>ALBERT, )</b>                   | <b>JP. Stolpe.</b>        |
| <b>TEODOR, )</b>                   |                           |
| <b>PIETRO, poborca,</b>            | <b>JP. Zdanowicz.</b>     |
| <b>OFICER oddziału karabi-</b>     |                           |
| <b>njerów,</b>                     | <b>JP. Królikowski.</b>   |
| <b>FABJO, służący Markiza,</b>     | <b>JP. Jędrzejewski.</b>  |
| <b>MASSARONI, bandyta,</b>         | <b>JP. Jasiński.</b>      |
| <b>MARJA GRAZIA, jego żona,</b>    | <b>* * *</b>              |
| <b>RUBALDO, )</b>                  | <b>JP. Jastrzębski.</b>   |
| <b>CARLOTTI, )</b>                 |                           |
| <b>SPOLETTO.)</b>                  |                           |
| <b>BERGAMASCO, włóczega,</b>       | <b>* * *</b>              |
| <b>Goście plci obojój.</b>         |                           |
| <b>Karabiniery,</b>                |                           |
| <b>Służba Markiza Bianchi.</b>     |                           |
| <b>Bandyci.</b>                    |                           |

*(Rzecz dzieje się w okolicach Rzymu)*

\*\*\*Rol oznaczonych niema w przekładzie francuzkim tej dramy, a tém samém i w tłumaczeniu polskiem.

# BANDYTA.

## AKT I.

*Scena przedstawia wąwóz gór przy Guadagnola, w głębi morze na którem jeszcze mgła poranna spoczywa. Cała scena zapelnioną jest urwiskami skał, pniami drzew i zaroślami. Na wierzchołku jednej z skał, wielkie drzewo, którego konary zwieszają się nad przepaścią, pod tem drzewem kilka kamieni.*

## SCENA I.

MASSARONI, (*śpi pod drzewem*) MARJA GRAZJA, (*czuwa przy nim*) ZBÓJCY. (*leżą dookoła*)

CARLOTTI.

Gdzie bawi tak długo nasz Rubaldz?

S P O L E T T O.

Do pioruna z Guadagoła nie tak blisko! A potem, wiesz dobrze że on nie zwykł wracać z próżnemi rękoma. Jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć podróżnego, któryby przeszedłszy przez jego ręce, użalał się jeszcze na ciężar swojego ładunku.

C A R L O T T I.

Ha! ha! prawda, chętnie swego bliźniego uwalnia od ciężarów, przez samą tylko uczynność i dobroć serca.

S P O L E T T O.

A jeżeli się za długo opiera, to go poczęstuje dwoma calami swego sztyletu i rzecz skończona. Co to za wprawne pchnięcie u tego człowieka!

C A R L O T T I.

Nic dziwnego, w Neapolu uczył się swojego rzemiosła. Biada temu kto się odważy zająć mu drogę.

S P O L E T T O.

Jednakże znam kogós, co go tak umie uskramiać jak pieska. Nasz Massaroni!

C A R L O T T I.

Eh! bo też to jest poskromiciel wszystkich! Minie się zdaje że się nim jakiś duch opie-



kuje. Ale patrz, czy to nie Rubaldo wraca?  
Kogóż on ze sobą prowadzi?

## SCENA II.

CIŻ, BÉRGAMASCO i RUBALDO. (*pod czas téj sceny, wszyscy zbójcy zbierają się do mówiących*)

RUBALDO.

Dzień dobry moje dzieci! dzień dobry! No, jakże tam! czy pomyślny wiatr w górach.

SPOLETTO.

Mów ciszej. Czy nie widzisz, że Massaroni spi?

RUBALDO.

Niech djabli porwą jego sen! (*ciszej*) Przeprowadzam nowego kolegę, tegoż towarzysza.

SPOLETTO.

Gdzieżes wynalazł to ziółko?

RUBALDO.

Gadaj z większem uszanowaniem o wzorze złodziei! Wszakże to ten djabeł na próbę podkręcał nam kurki od fuzji, i pokradł stęple, kiedyśmy w parowie do celu strzelali.

WSZYSCY. (*zdejmują kapelusze i podają ręce nowo przybyłemu*)

Bravo! bravo! podaj rękę kolego!

B E R G A M A S C O.

Moi panowie, jesteście bardzo łaskawi; to były tylko małe próbki zręczności, igraszki, rozrywki w moich melancholicznych godzinach. (*kiedy Spoletto rękę kuniemu wyciąga, zdejmuje mu pierścień z palca*) Teraz będę prosił, żebyś na przyszłość lepiej trzymał na palcach twoje pierścionki jak mi będziesz rękę podawał, jeżeli palca nie skrzywisz, to ja go skrzywię.

W S Z Y S C Y.

Bravo! Bravissimo!...chwał!...kolego witaj między nami! pozwól się uściskać. (*kiedy go ściskają, Bergamasco zrecznie im wyjmuje sztylety, zegarki, chustki i t. p.*)

B E R G A M A S C O.

Zadusicie mię, moi panowie! Prawdziwie, nie wiem czém zasłużyłem sobie na tak odznaczające dowody waszej życzliwości; przysięgam, że mnie zawstydzacie. Teraz bądźcie

tak dobrzy, raczcie wszyscy odebrać niektóre drobnostki, w czasie ich zaszczytnych uścisków mimowolnie do mnie przyłgnęły.

*(Podczas tych słów Massaroni obudził się, i przychodzi na przód sceny.)*

W S Z Y S C Y .

Niech żyje nasz nowy kolega!

R U B A L D O .

Dowódzca! *(wszyscy zdejmują kapelusze i usuwają się wglęb)*

### SCENA III.

SPOLETTO, CARLOTTI, MASSARONI, BERGAMASCO, RUBALDO, MARJA GRAZJA, ZBÓJCY  
•WGŁĘBI.

M A S S A R O N I .

Ho! tu coś głośno się odbywa! Któż to?

R U B A L D O .

Dzielny rekrut! powraca z galer, zdybałem go w Civita-vecchia, i zawerbowałem na trzy miesiące, dawszy mu 16 cekinów na zadatek.

B E R G A M A S C O . *(cicho do Rubaldo)*

Chciałbym okazać się godnym jego poważania. *(do Massaroniego)* Pozwól mi sławny dowódzco uściskać cię, abym w czasie, kiedy już odbierzesz zasłużoną nagrodę, mógł po-

wiedzieć: „Uściskałem go także!” (stara się wsunąć rękę w kieszeń Massaroniego, który zrozumiawszy jego myśl, porywa go za rękę i ściska z widoczną siłą)

BERGAMASCO. (z krzykiem)

Święty Antoni! złamał mi rękę.

MASSARONI. (zimno)

Na przyszłość, porzuć żarciki, u mnie one nie popłacają; jeżeli raz jeszcze zapomnisz winnego uszanowania, głowę ci rozplątam.

RUBALDO. (do Bergamasco)

Miałem ci to samo naprzód powiedzieć.

BERGAMASCO.

Miałem!... Lepiej żebyś był powiedział, byłbyś miał zgrową rękę.

MASSARONI.

Moje dzieci, miło mi, że was tu razem oglądam. Zapewne pragniecie wiedzieć, dla czego wam tu wszystkim zebrać się kazałem. Będzie robotka; posłuchajcie. Nie bez przyczyny tej nocy odbyłem drogę z Velletri. Bankier Miralda spał dziś w Rzymie; tego poranku będzie przejeżdżał przez te góry, chce śniadać w Villa Corinna. Podobno dla bezpie-

czeństwa, towarzyszy mu kilku dragonów Rzymskich, trzeba mu tedy oddać należny hołd z naszej strony. Rubaldo, pójdiesz z twojemi ludźmi na jego spotkanie, oświadczysz mu grzecznie, że jesteśmy biedni ludzie, którzy pragną usilnie być tak bogatemi jak on. Jeżeliby czynił wiele trudności... rozumiesz... i na przechadzkę w góry.

RUBALDO.

Myślę, że się nie zdoła oprzeć mojej usilnej prośbie. Czy mogę nowicjusza wziąć ze sobą?

MASARONI.

Nie, nie. Zostawcie mi tego młodego przybysza; po kilku-godzinnej grzecznej i uprzejmej rozmowie ukształci się. Mam prócz tego tutaj małą wyprawę, może mi będzie potrzebny. Poborca dóbr leżących w dolinie, dziś będzie tedy powracał z pełną kieszenią. Żeby zaś innej drogi sobie nie obrał, wymyśliłem plan, który go niezawodnie sprowadzi w nasze ręce. Zwykle unika wielkiej drogi, i w sukniach żebraka przebywa góry, ale torba i kij napełnione prawie złotem. Czas upływa, Rubaldo!

dalej na twoje stanowisko. Inni niech wypoczną w gęstwinie z nocnego utrudzenia. Żegnam was dzieci!

*(Ruhaldo z szczęścią zbrojcami, odchodzi w góry, Bergamasco i inni rozchodzą się w różne strony.)*

## SCENA IV.

MASSARONI, MARJA GRAZJA.

MARJA. *(po chwili milczenia)*

Massaroni, czy tylko ten powód skłonił cię do tak spieszego opuszczenia Velletri, czy nie było innej przyczyny?..

MASSARONI.

Być może!

MARJA.

Dla nich ten powód był dostatecznym, ale nie dla Marji Grazia. Markiz Biauchi, twój najzawziętszy nieprzyjaciel jest w Villa-rosa, może masz zamiar odwiedzić go?..

MASSARONI.

Co za szaleństwo! Całość wszystkich moich współtowarzyszów wystawiać na niebezpieczeństwo... dla kilku starych obrazów i serwisu porcelanowego. Chociaż bogaty i w sprosnej za-



topiony rospuście, jednakże przezorny, wszystkie swoje skarby zamurowane w Rzymie zostawia.

M A R J A.

Jednakże gdyby ci się udało pochwycić go..

M A S S A R O N I.

Na mój sztylet! nie źle! Na dobrą myśl mię naprowadzasz! O tém niech będzie przekonany, że okup musi go przeważać. Ale Marjo!..  
(wzdycha)

M A R J A.

Cóż to, Massaroni wzdycha! Pierwszy raz zapewne te skały, na westchnienia twoje echem odpowiedzą.

M A S S A R O N I.

Czy uwierzysz, moje rzemiosło już mi się przykrzeć zaczyna. Nasyciłem się życiem łotrowskiem! Pragnę odetchnąć swobodnie. Niech tylko raz przyjazny los uśmiechnie się do mnie, niech spełni moje życzenia, a porzucę wszystko, moja część wystarczy na spokojne utrzymanie życia. Kupię dobra w Toskanji lub Sabaudji, będę dni pędził tak przyjemnie i ucziwie, jak niejeden z tych jchmo-

ściów, który żyje ze stołu Faraonowego. Jeżeli stałem się występny, niech wszystkie moje zbrodnie spadną na głowę tego, który mię wytrącił ze społeczeństwa ludzi, który moją nieszczęśliwą matkę, ofiarę swojej rozpusty, zostawił umierającą w niedostatku i nędzy! *(wyjmuje miniaturę)* Mówiono mi nie raz, że to był jakiś bogaty, znakomity człowiek. O matko! dla czegoż twoje konające usta zamilczały nazwisko niecnego zbrodniarza! Zwłoki twoje byłbym poniósł na jego rozwiozłą biesiadę i jego drżących gości, przymusiłbym uznać cię za władczynię domu. Ty nawet, w twojej śmiertelnej odzieży byłabyś piękniejszą, jak ten obydney uwodziciel, w całym blasku swoich bogactw!

M A R J A.

Massaroni!

MASSARONI. *(wpatrując się mocno w miniaturę)*

Tak piękna i tak dobra, aby dla jednego złoczyńcy aż do śmierci wierną pozostać; jej serce rozdzierało się z bóleści, a jednak ostatecznie jej tchnienie było miłością dla niewdzięcznego. O matko! nie wiedząc kto był twoim nikczemnym zwodzicielem, mścić się będę nad

wszystkiemi do niego podobnemi. Drzyjcie! drzyjcie rozpustnicy, Massaroniego gniew dosięgnie was, was zbójcy społeczeństwa ludzkiego.

M A R J A.

Przyjdź do siebie, unosisz się zbyt mocno!

M A S S A R O N I

Tak...tak...już minęło. Podaj mi wina Marjo. Wina! przysłała właścicielko Toskańskiego zamku.

M A R J A.

Massaroni, jestem córką zbójcy, pragnę umrzeć żoną zbójcy.

M A S A R O N I.

Żoną zbójcy, powiedz raczej wdową po zbójcy, jeżeli się zjiszczą moje życzenia. (*Marja idzie do skatły, przynosi butelkę, róg do picia i nalewa*) zdrowie mojego serdecznego nieprzyjaciela... jego usiłowania zasługują na moje dzięki. (*zdejmuje kapelusz i pije*)

MARJA. (*patrząc w prawą stronę*)

Cicho.. słyhać śpiew żebraka.

M A S S A R O N I.

Aha! nasz poborca! — Prędko, kapelusz wieśniaka i płaszcz.

Tom XIII.

2.

MARJA. *(wynosi to wszystko z za drzewa)*

M A S S A R O N I.

Dobrze! teraz idź zobacz jak się powiodła Rubaldowi wyprawa.

MARJA. *(oddala się w góry)*

MASSARONI. *(chowa swój kapelusz i strzelbę po za krzaki, spoglądając, w prawą stronę)*

Ubiór...kij...tak zupełnie, wszystko zgadza się z opisem! Czekaj ty słodziuchny panie, cała okolica powtarza: że ludziom wydzierasz ich ostatek, muszę ja cię porządnie opatrzeć. *(siada na urwisku skały, dobywa kości i grać zaczyna)*

## SCENA V.

MASSARONI, PIETRO. *(w ubiorze żebraka z kijem w ręku)*

PIETRO. *(zmordowany)*

Ha! tu na tej górze, muszę trochę odpocząć.

MASSARONI. *(rzucając kości)*

Sześć dla ciebie, szczęśliwy Jenjusz!

PIETRO. (*przełękły ogląda się*)

Cóż to jest?

M A S S A R O N I.

Znowu cztery dla mnie, a więc nieszczęście ciągle mię ściga.

P I E T R O.

Co ten człowiek tam robi? Jeżeli się nie mylę sam ze sobą gra w kości.

M A S S A R O N I.

Pięć dla ciebie, a trzy dla mnie. *Cospetto!* sam szatan nie mógłbym szczęśliwiej grać dla niego.

PIETRO. (*zbliżając się do Massaroniego*)

Mój synu, co ty robisz?

M A S S A R O N I.

Cicho, cicho...ani słowa, ja sprawiedliwie rzucam! Dziesięć, dla dobrego jeńjusa, a dziewięć dla mnie, *Maledetto.* (*zrywa się i idzie naprzód*)

P I E T R O.

Nie klnij mój synu, co ci się wydarzyło?

M A S S A R O N I.

Co się wydarzyło? *Corpo di Bacco!* moj dobry jenjusz od wschodu słońca aż dotychczas wygrał odemnie sto sztuk złota.

PIETRO. (*zdumiały*)

Dobry jeńjusz? od ciebie.

MASSARONI.

No tak! cóż dziwnego. Grywam z nim cztery, pięć razy na dzień, tu na tym kamieniu i z 3,000 dukatów które mi zostawił mój ojciec, przed dwoma miesiącami, większą połowę przegrałem. Ani jednego szczęśliwego rzutu!

PIETRO. (*n. s.*)

Warjat! Pewno zniszczony gracz, którego nieszczęście zmysłów pozbawiło, teraz marzy o kościach i o dukatach.

MASSARONI.

Jeszcze raz spróbuję, może mi się uda odegrać swoje. Dwa razy tyle albo kwita. Pójdź przyjacielu i patrz jak gram sprawiedliwie.

PIETRO. (*n. s.*)

Nie trzeba go gniewać. (*głośno*) Życzę ci szczęścia mój synu.

MASSARONI. (*siada na kamieniu i bierze kości*)

Naprzód dla mnie. Siedm! pięknie. Ah teraz lepiej idzie. Dziewięć! Patrz sam, prze-



klęcie! (*wstaje i idzie naprzód*) 200 dukatów,,  
od rana!...

P I E T R O.

No, no, posłuchaj mię, niesmuć się! Ten  
jeńjusz nie przyjdzie po swoją wygraną, nie  
będzie nalegał, ja ci zaręczam.

M A S S A R O N I.

Nie będzie nalegał o wygraną, cóż ty my-  
ślisz? To jest dług honorowy, i musi być  
zapłacony, chociażbym ostatniego szkuda miał  
wydać.

P I E T R O.

I komuż oddajesz te pieniądze?

M A S S A R O N I.

On zawsze przysyła swojego pełnomocnie-  
ka.

P I E T R O.

Tak, wistocie...on przysyła?...(*n. s.*) Warja-  
t zupełny, ale jak się zdaje jakiś łagodny ro-  
dzaj warjacji. (*głośno*) Któż jest jego pełno-  
mocnikiem?

M A S S A R O N I.

Najczęściej, jaki ubogi...ty...pewnie tobie  
przeznaczył wygraną sumę.

PIETRO. (*n. s.*)

Gdybym wiedział, że on ma czym zapłacić, nie długobym się namyslał.

MASSARONI. (*daje mu worek*)

Tu mój przyjacielu jest 60 dukatów, oto wszystko co mam przy sobie. Resztę muszę ci zostać dłużnym aż do zachodu słońca.

PIETRO. (*przegląda chciwie worek*).

Jakto?

M A S S A R O N I.

O nie potrzebujesz liczyć, jest tyle com powiedział, a resztę jeszcze przed zachodem słońca znajdziesz tu na tym kamieniu. Chcę płacić uczciwie i rzetelnie dopóki pieniędzy stanie. Jak wszystko przegram, ah! wtenczas już będę spokojnym...

PIETRO. (*n. s.*)

Dalibóg złoto, same dukaty! Gdybym się ośmielił zatrzymać.

M A S S A R O N I.

Cóż tak je trzymasz wręku, jak gdybyś się obawiał... Czy nie ufasz mojej uczciwości?

P I E T R O.

Jakżebym mógł o tem pomyśleć... (n. s.)  
200 dukatów, prześliczny traf. (głośno) Dziękuję ci szlachetny panie! i na przyszłość życzę lepszego szczęścia!

M A S S A R O N I.

Już dobrze, dobrze, tylko idź precz!

PIETRO. (d. s.)

Jak się zdaje, gniewa go przegrana. Oddalmy się nim jej żałować będzie. (odchodzi prędko)

M A S S A R O O I.

Już stary lis schwycił zanętę, a jeżeli go nie złapię w moje żelazo, to chętnie moją strzelbę za kij drewniany zamienię. (zrzuca ubiór wiejski)

## SCENA VI.

MASSARONI, MARJA, ZBÓJCY.

MARJA. (schodzi spiesznie z góry)

Do broni! do broni! Rubaldo w niebezpieczeństwie! Wieści o bankierze, były to tylko sidła, żołnierze tuż za nami gonią; dwóch z naszych ludzi dostało się w ich ręce, a pozostali już są gwałtownie ścigani.

MASSARONI. *(daje znak na piszczałce)*

Moja broń! za mną! *(porywa kapelusz i broń, biegnie szybko za góry, zbójcy za nim)*

MARJA. *(pod dźzewem w głębi, chwytą się lewą ręką konara wiszącego nad przepaścią i patrzy po za górę, wołając:)*

Dobrze! prosto przez krzaki! Tak, teraz już są blisko siebie. *(słychać strzały i odgłos trąb)* Już na nich uderza... śmierć wszędzie roznoszą... już pierzchają... kilku ucieka... pobici... niech żyje Massaroni! *(powiewa białą chustką, za sceną słychać jeszcze hałas i wystrzały w różnej odległości, Marja wybiega)*

## S C E N A VII.

TEODOR, ALBERT. *(oba niosą rysunkowe teki)*

TEODOR.

Jak wspaniale światło pada na te góry. Zatrzymaj się chwilę, zrobię jeszcze jeden szkic na prędcę.

ALBERT.

Tylko spiesz, ledwie na obiad zajdziemy do Villa-rosa, a wiesz dobrze, że Hrabia oczekuje dziś gości na wieczór.

TEODOR. (*siada na kamieniu i rysuje*)

Odbyliśmy nie małą drogę, ale też mamy mnóstwo przepysznych widoków. Śmiało powiedzieć mogę, że aby się zbliżyć do rodzaju dzieł Salvatora Rosy, brakuje mi tylko jego znajomości zbójców. Oktavja tak mi często o nich mówi, że dałbym wszystko co mam, aby ich można raz zblizka zobaczyć.

A L B E R T.

Tu ich nie zobaczysz, możemy być zupełnie spokojni. Nawet sam Massaroni nie odważyłby się ukazać tak blisko bram Rzymu.

T E O D O R.

Massaroni! Wiesz że radbym go widzieć w mojem życiu. Powiadają, że szczególnie odznacza się w swoim rzemiośle, że jego mowa i sposób obejścia na pierwszy rzut oka odróżniają go od jego podwładnych.

A L B E R T.

Obdziera bogatych a ubogich wspiera; ma być wspaniałomyślnym, walecznym, wesołym. Jego surowa sprawiedliwość, stała się przysłowiem w okolicy, do tego stopnia, że wieśniacy i pasterze w swoich kłótniach zwykli go obierać za sędziego.

T E O D O R.

Zaraz można poznać, że pełna uniesień Oktavja mówi przez ciebie. Ty jesteś dzieckiem szczęścia, pozyskałeś przywiązanie siostrzenicy Markiza, mnie się nigdy nic podobnego nie udało!

A L B E R T.

Prawda, kochaliśmy się skrycie; ale mógłbym mieć nadzieję, że jej wuj zezwoli kiedy na związek z biednym malarzem.

T E O D O R. *(wciąż rysując)*

Czyliż on odmówił kiedy co swojej siostrzenicy?

*(Bergamasco ukazuje się w głębi i uważa ob u malarzy.)*

T E O D O R.

On ciebie bardzo lubi, szerególniej od czasu jak naprawiłeś mu ten portret, który wisi w jego pokoju. Chciałbym tylko wiedzieć, dla czego on czyni z tego taką tajemnicę? Dla czego tę piękną twarz okrywa zasłoną? *(wstaje)* No, już skończyłem; jeszcze mi się tylko jedna czysta karta została. Gdybym mógł uchwycić choć najmniejszy zarys grupy zbójców...



ale zdaje się, że ją będę musiał utworzyć.  
(*chcą oddalić się*)

## SCENA VIII.

ALBERT, BERGAMASCO, TEODOR.

BERGAMASCO. (*grzecznie, zastępując im*)

Panowie raczą mi przebaczyć, że ich się zapytam która godzina? Zbłądziłem na drodze i chciałbym..,

ALBERT i TEODOR. (*razem spoglądają na zegarki*)

Za kilka minut piąta.

BERGAMASCO. (*n. s.*)

Złote zegarki... pierścionki na palcach, jest gratka. (*głośno*) Panowie, malarze? uważałem żeście rysowali.

TEODOR.

Tak jest, wawóz gór z tej strony ma zupełnie wyłączne piękności, chciałbym go wziąć za przedmiot do wielkiego obrazu; ale tak, sam, jest martwy... Banda zbójców byłaby najwłaściwszą. Cóżbym nie dał za to, gdybym mógł zblizka zobaczyć którego z ludzi tego wslawionego Massaroni, albo też jego samego.

B E R G A M A S C O.

Niech pan sobie tego nie życzy. Miałem nieszczęście dostać się w ich ręce, dotychczas nie mogę pomyśleć o tém bez wzdrygnięcia.

T E O D O R.

Ah, opowiedz nam, proszę. Czy ubiór tych ludzi jest w istocie tak malowniczy, jak go nam wyobrażają?

B E R G A M A S C O

Jeżeli są w górach u siebie.... Ale jest wielu tak ubranych jak ja. Chciałbym być malarzem, abym te okropne sceny, których byłem świadkiem, mógł przekazać potomności. Przypominam sobie jedną, któraby zapewne panu najlepiej się podobała.

T E O D O R.

Jakaż to?

B E R G A M A S C O.

Przywiązano jakiegoś nieszczęśliwego młodzieńca do drzewa, i Massaroni sam utopił sztylet w jego piersi.

T E O D O R.

Bravo! przedziwnie! Czy nie mógłbyś nam opisać tego szczegółowo jak on był przywiązany, albo też sam przedstawić? Jabym zaraz pierwszy zarys nakreślił.

B E R G A M A S C O.

Bardzo chętnie, niech mi tylko który z panów za model posłuży.

T E O D O R.

Mój Albercie, ty jesteś tak dobry! Usiądę, i za kilka minut..

ALBERT. *{śmiejąc się}*

No, spiesz się.

B E R G A M A S C O. *{wyjmując swoją chustkę}*

Czy mogę panów prosić o kilka chustek do przywiązania. *(Albert i Teodor oddają chustki z kieszeni i ze szyi, któremi Bergamasco przywiązuje Alberta -do starego pnia)* Jedna ręka tu wyżej, nieco skrzywiona; ta druga tu niżej, noga nieco naprzód, ciało przegięte w tył; tak... dobrze.. bardzo dobrze!. Jeszcze jedna chustka przez środek ciała, a ostatnią pozwolisz pan zatkać sobie usta. *(zrobiwszy co mówił)* teraz zupełnie dobrze.

T E O D O R. *(usiadł na kamieniu, dobył papier, przygotował ołówek, nie patrząc na Alberta)* Jestem niezmiernie ciekawy. Szczęśliwy przyja-



dek sprowadził nam tego uprzejmego człowieka.

BERGAMASCO. (*stoi tak, że Teodor nie widzi, gdy mimo oporu Alberta, wyjął mu zegarek, pieniądze i t. p.*)

Nie uwierzycie panowie, ile ten obraz ma w sobie prawdy! (*dobywa pistolet ukryty pod suknią, i zbliżając się do Teodora*) Teraz pana proszę uniżenie, bądź łaskaw oddać mi swój zegarek i worek z pieniędzmi, ale to tylko dla tego żeby więcej życia nadać temu obrazowi.

TEODOR. (*mocno zdziwiony*)

Co?

B E R G A M A S C O .

Żałuję, że mój ubiór nie jest dosyć malowniczy, aby ci nakazał powinne uszanowanie; ale mam tu dwie małe machinki, które ci dosyć dobitnie poznać dadzą, że mam żywą chęć posiadania twojego zegarka i pieniędzy!

TEODOR. (*wyjął zegarek, i milcząc oddał Bergamascowi*)

Ktoby pomyślał, że ten grzeczny człowiek...

## BERGAMASCO.

Mocno obowiązany, teraz radzę wam po przyjacielsku, opuścić jak najprędzej te zwaliska, albowiem wkrótce tu przybędzie kilku moich towarzyszków, dla tego tylko, aby więcej natury było w tych grupowaniach. Teraz mam zaszczyt jak najprzyjaźniej polecić się ich pamięci w przekonaniu, że na przyszłość nie zabraknie wam przedmiotów do waszych malowań. *(kłania się grzecznie i odchodzi w góry)* Sługa panów moich!

TEODOR. *(siedzi jeszcze zdumiały)*

Niech cię piekło pochłonie przenajgrzeczniejszy zbrodniarzu! *(Albert okazuje znaki niecierpliwości)* Ah... zaraz... zaraz... *(odwiązuje go)*

ALBERT. *(któremu chustkę wyjął z ust)*

Ha! widzisz co spowodziło twoje ociąganie się. Szczęście, że cię kulka nie poczęstował. Myślę, że teraz już możesz wstępować w ślady Salvatora Rosy, bo poznałeś układność tych... *(chcą odchodzić, gdy Rubaldo, Spoletto, Marj & Grazja wchodzi)*

## SCENA IX.

ALBERT, TEODOR, RUBALDO, SPOLETTO,  
MARJA. (później) MASSARONI, I WIELU  
ZBÓJCÓW.

RUBALDO.

Hola, stójcie!

TEODOR. (*d. s.*)

Otóż mamy kochanych kolegów waszego przyjaciela; daj Boże, aby ci byli tak grzeczni jak on.

ALBERT.

Czego chcecie?

RUBALDO.

Łatwo się domyśleć! Pieniądzy!

TEODOR.

Bardzo mi przykro, ale wszystko cośmy tylko mieli, zabrał jeden z towarzyszków waszych! (*cicho do Alberta*) Teraz jest nas dwóch na dwóch, kobieta się nie liczy; uderz na tego co przy tobie! (*Albert rzuca się na Spoletta, Teodor porywa za broń Rubalda, Marja dobywa sztylet, i uderza na nich. W tej chwili, ukazuje się Massaroni z trzema zbójcami. Rubaldo uwolniwszy się z rąk Teodora, mierzy swiego, Massaroni wytrąca mu broń*) Cóż to



jest? Marjo! Rubaldo! bezbronni podróżni!  
Utarczka z żołnierzami zagrzała wam głowy.  
(do Teodora i Alberta) Przebaczcie panowie  
moim ludziom ten zapal i uniesienie; kilku z nich  
wycierpiało wiele przy dzisiejszém spotkaniu,  
i to wzburzyło nieco ich zwykły spokojny u-  
mysł.

TEODOR.

Wspaniały bandyto... wysłuchasz zapewne  
głosu rozsądku, domyślam się, że jesteś...

MASSARONI. (z uśmiechem)

Massaroni.

TEODOR.

Byłem pewny. Patrz Albercie, co za głowa!  
postać, jak przesłiczna broda! piękny wzór do  
malowania!

ALBERT.

Wiemy, że pan tylko starasz się chwycić lu-  
dzi, aby potem otrzymać okup za ich uwolnie-  
nie; wiele pan żądasz za nas?

MASSARONI.

Jak się zdaje, jesteście malarzami!

TEODOR.

Zupełnie biednemi, bo nam tu... jeden z pa-  
nów... za model kazał drogo sobie zapłacić.

M A S S A R O N I.

Ale zapewne macie przyjaciół, dla których 2,000 skudów będzie drobnostką, przeto proszę panów, raczcie udać się z nami w górę.

Pewny jestem, że piękne widoki nagrodzą wam czas stracony, bo i my jesteśmy wielbicielami natury. Może napotkamy jakiego wieśniaka, poszlemy go z listem.

MARJA. (*rozgniewana*)

To są przyjaciele Markiza Bianchi, 2,000 skudów nie jest żaden okup.

M A S S A R O N I.

Przyjaciele Markiza Bianchi? Ah to zmienia stan rzeczy! Muszę sumnę przynajmniej potroić przez uszanowanie dla majątku jego wielkości. On by się obraził, gdybym się osmiał tak mało cenić życie jego przyjaciół, szczególnie po dzisiejszej wyprawie, która mu się tak szczęśliwie powiodła. Napiszcie przeto panowie wexel do Markiza Bianchi na 6,000 skudów.

RUBALDO. (*przez ten czas umawiał się z zbójcami*)

Nie, nie chcemy okupu! Przyjaciele Marki-

za Bianchi są naszymi najzacieńszymi nieprzyjaciołmi muszą zginąć! (*mierzy w Teodora, inni zbójcy z podniesioną bronią rzucają się na Alberta*)

MASSARONI. (*grożąc*)

Precz! Kto powiedział że muszą zginąć! Kto odważy się rozkazywać w mojej obecności. Rubaldo, dziś uwolniłem cię od krótkiej spowiedzi adługiego sznura przy *Piazza del Popolo*. (*z groźbą wznosi swoją broń*) Precz! albo umorzę nasz rachunek rostrzaskaniem twojej nieposłusznej głowy. Precz mówię! Czy szaleństwo was ogarnęło, że mi pozwalacie dwa razy jedno powtarzać? Znacie Massaroniego! a jeżeliście zapomnieli jaką mam władzę nad wami, pierwszy trup, który się potoczy u nóg waszych, przypomni wam winne uszanowanie.

RUBALDO. (*mrużąc, cofa się z innymi*)

TEODOR. (*odetchnąwszy z przestachu, dobywa papier i prędko rysuje Massaroniego, jak mając broń podniesioną grozi zbójcom*)

Stoją jak zakamienieni! Co za przepyszna grupa! spojrzenie, postać!

A L B E R T.

Massaroni, ocaliłeś nam życie, chcemyz tobą mówić otwarcie. Markiz Bianchi szanuje mię, kocha; w każdym innym razie żadaną summę chętnie by wypłacił na okup mojej wolności. ale wiem że teraz, odebrawszy mój list przysze żołnierzy w miejsce pieniędzy.

M A S S A R O N I.

Żołnierzy! ha! ha! (*zbojcy śmieją się*) Żołnierzy rzymskich! widzieliśmy się dziś rano z nimi i rękę, że nigdy nie jechali z takim pośpiechem jak przed chwilą wydarzy się z rąk naszych. (*surowo*) Może tą mową chcecie zastraszyć Massaroniego.

A L B E R T.

Nie, wiem dobrze że jesteś równie mężnym jak wspaniałym. A więc mówiłeś 2,000 skudów?

M A S S A R O N I.

Mówilem 2,000, teraz mówię 6,000.

A L B E R T.

Pozwól nam więc udać się do Rzymu.

M A S S A R O N I.

Nam? Nie, twój towarzysz zostanie jako zakładnik.

A L B E R T.

Jego nieobecność obudzi podejrzenie Markiza, i nie otrzymam żądanej summy; śmierć zaś mojego przyjaciela byłaby dla was zbyt małym wynagrodzeniem straty naszego okupu. Uwolnij nas, a przysięgamy ci na Boga że przed północą jeszcze przyszlemy wiernego sługę na wskazane miejsce ..

M A S S A R O N I.

Jakąż mi dajesz rękojmię że dotrzymasz słowa danego zbójcy?

A L B E R T.

Ufność w twojej wspaniałości.

M A S S A R O N I.

Twoje nazwisko?

A L B E R T.

Albert Benvenuto.

M A S S A R O N I.

Dosyć mi na tém. Jesteście wolni, ale żadnych postaćów, żadnych wiernych sług; przed północą ja sam poszlę do Villa-rosa umyślnego, który mi albo przyniesie umówiony okup, albo was przyprowadzi. Pamiętajcie żem wam zaufał na słowo!

A L B E R T. :

Nie będziesz tego załował.

M A S A R O N I.

Pragnę się o tém przekonać. Możecie odejść.

R U B A L D O.

Odejść?

MASSARONI. (*do Rubaldo*)

Milczec. (*do Alberta*) Zdaję się na waszą przysięgę, dowiedźcie mi, jak jej dotrzymują uczciwi ludzie.

TEODOR. (*który skończył rysunek*)

Możecie odejść, wszak tak pan powiedziałeś?

MASSARONI. (*daje znak zbójcom aby się oddalili*)

W góry! (*do Teodora i Alberta*) Pamiętajcie, zemsta Massaroniego jest tak straszna jak pewna, *addjo!*

ALBERT i TEODOR. (*odchodzą*)

Zegnam panów!

MASSARONI. (*do zbójców*)

Teraz ukryjcie się w skały, ja oczekuję



przybycia...*(słysząc śpiew żebraka)* Otóż i on...  
precz!..precz wszyscy! *(zbójcy się rozchodzą)*  
Byłem pewny że będzie powracał tą drogą.  
Ma chętkę na 200 dukatów...No, no, czekam  
cię, dalej do kości, teraz mogę śmiało się za-  
łożyć że mnie szczęście sprzyjać będzie. *(sida i gra)*

## SCENA X.

MASSARONI, PIETRO.

PIETRO. *(wchodzi)*

To on, i znowu gra. Spodziewam się że  
jeńjusz korzystnie użył tego czasu! Wistocie  
lękałem się wracać tędy, bo biega pógłoska,  
że w okolicy widziano zbójców; ale cóż mię  
to obchodzić może? odzież moja jest dosta-  
teczną zasłoną, przecież żebrak nie obudzi  
w nich chęci grabieży.

M A S S A R O N I.

Dzięki niebu! to był piękny rzut! Dwa razy  
albo kwita! Aha! przecież i dla mnie karta  
się odmienia! Teraz musisz mi za wszystko  
zapiacić.

PIETRO. (n. s.)

Co? co? (głośno) Panie grający...przychodzę tu...po...

M A S S A R O N I.

Cicho? cicho! od tego rzu u cały mój majątek zależy... (cisła) Ó dla jeńjusz! teraz dla mnie...!2! vivat! wygrałem. (wadowany wstaje i idzie naprzód)

P I E T R O.

Wygrałeś!

M A S S A R O N I.

Tak 2,000 dukatów.

PIETRO. (n. s.)

Oh warjat zupełnie! pewno sądzi że jeńjusz przyszłe mu wygrana, bo się tak cieszy. (głośno) Ale ja myślę że poczekaś trochę nim ci dobry jeńjusz przyszłe przegrana.

M A S S A R O N I.

Czekać? nie, ani godziny. On jest tak rzetelny w wyłacie jak ja.

P I E T R O.

Proszę, jaką też monetą płaci?

M A S S A R O N I.

Złatem, ma się rozumieć! Jestem zupełnie spokojny, rzecz prawie skończona! Bo wi-

dzisz mój kochany, taka pomiędzy nami umowa: jeżeli ja przegram, przysyła mi swojego pełnomocnika, jakiego biedaka, którego obdarza wygraną; a jeżeli wygram, przysyła mi jakiego poborcę, zwykle bogatego łotra, chciwca... do którego za życia już piekło ma zupełne prawo.

P I E T R O.

Jego spojrzenie, sposób mówienia, zaczynają mi się nie podobać.

M A S S A R O N I.

Naprzykład dziś rano, ponieważ przegrałem, przysłał mi jakiegoś żebrzącego starca, który pewnie ani jednego szkuda nie miał przy sobie; teraz kiedy wygrałem, przysyła mi jako uczciwy jeńjusz, bogatego poborcę, który niesie z sobą 2,000 dukatów, właśnie tyle, ile wynosi jego przegrana.

P I E T R O. (*n. s.*)

Ah do kroćset!.. *Djavo!* (*głośno*) Signor! życzę dobrej nocy. (*chce odejść prędko*)

M A S S A R O N I. (*chwytą go za suknię*)

Nie, panie poborco, myślę, że zrozumiałe powiedziałem. Dopelnij poleceń poczciwego

jeńjusa, jesteś mi winien 2,000 dukatów. Dobywaj pieniędzy, o parę sz kudów nie będziemy się sprzeczać.

P I E T R O.

Al! najwspacialszy, łaskawy *Signor*, wzywam tego jeńjusa na świadka, że ani jednego *paulo* nie mam w kieszeni. Przekonaj się, jeżeli mi nie wierzysz.

M A S S A R O N I.

W twojej kieszeni? wierzę. (*wydziera mu kij*) Ale ten kij!..

PIETRO. (*z przerażeniem*)

Morderstwo! Złodzieje! Ratunku! Jestem zniszczony! O gdybym miał broń!

M A S S A R O N I.

Broń? O i na to mam sposób. (*gwizda*)

## SCENA XII.

CIŻ, MARJA, ZBÓJCY.

M A S S A R O N I.

Przybywajcie koledzy! Podziękujcie czci-godnemu poborey, ofiarował nam 2,000 dukatów. (*łamie kij przez kolano, wysypuje z niego złoto, na które z chciwością rzucają się zbójcy, do klęczącego Pietro*) Zadałeś sobie

nie mało trudów, nim zebrałeś te pieniądze,  
nie jeduego przyprowadziłeś może do nędzy,  
i dla kogo to wszystko? dla Massaroniego!

PIETRO. (z przestraczem)

Massaroni! (z bójey śmieją się, potem śpie-  
wają)

C H Ó R.

Vivat! vivat! vivat!

Pan poborca niechaj żyje!

Niech go ściga sprzeczny los,

Niech się teraz jak wąż wiję,

Kiedy nam opatrzył trzos!

(śmieją się)

Brałeś pieniądze bez litości,

Co go krwawy zlewał pot,

Mały odwet Jegomości

Daliśmy dziś w łot. ha! ha! ha!

(tańczą w koło niego, potrącając przed sobą  
aż do kulis, a wypchnąwszy go wracają.)

B E R G A M A S C O.

I.

Dla czegoż krzywdzą złodziei,

Kiedy co żyje to kradnie?

Kradniemy przyszłość nadziei,

Wszak zapiierać się nie ładnie.

Piękne oczko, złodziej zręczny,  
Mistrzem można zwać kradzieży;  
Ledwie promień rzuci wdzięczny,  
Nie jeden bez serca bieży.

*(po każdej zwrotce taniec charakterystyczny.)*

2.

Słońce także złodziej nocny,  
Skrada się z wolną, w pokorze,  
Gasi ogień światła mocny,  
I cichutko wchodzi w morze.  
Czyż to nie obraz bandyty  
Gdy się w cichości podsuwa,  
Spiesz, niosąc ogień skryty,  
Gdzie morze złota przeczuwa.

3.

Ten co tajną niesie zgubę,  
Ten co w karty miesza zdradę,  
Co innych przywłaszcza chlubę,  
Wrzędzie złodziejów go kładę.  
Nawet kochanka chytręgo,  
Ja śmiało złodziejem zowie;  
Szuka posagu wielkiego,  
Mówiąc: że miłość ma w głowie.



4.

Winném świetle rzeczy bierzem  
My złodzieje już ze stanu;  
Złoto jest naszym przymierzem,  
Nie zazdrościm sławy panu!  
Przecież choć często zła sprawa,  
Skrzywdzona płacze ofiara,  
Tamten ujdzie ciosu prawa,  
A za marne złoto kara.

*(zbójcy tańcząc, powtarzają ostatnie wiersze, potem wnoszą z jaskini koszyki, napelnione żywnością i butelkami.)*

C H Ó R.

Hej, ha, wesoło, hej, ha!

Kielich wokoło, hej, ha!

Wino i tan,

Każdy z nas pan, hej, ha!

*(podczas tego chóru, jedna część zbójców tańczy, druga pije, gra w karty, koście, i wrzym-ską grę »Morra.« W czasie ich radosnej zabawy, słyhać zdala mały dzwonek klasztorny. Nagle wszystko ustaje, zbójcy z pokorą zdejmują kapelusze; w tém słyhać zdala trzaskanie z bicia.)*

CARLOTTI. *(wskakuje na skałę pod drzewo)*

Powóz! powóz! Zwolna jedzie pod górę!

MASSARONI. *(także patrząc w tę stronę)*

'To Anglicy!.. Pocztyljon zsiadł z konia, będziemy mogli bezpieczniej strzelać, dobry początek. Dzieci na stanowiska!

*(Zbójcy nabijają broń. Massaroni na przodzie sceny, nabija swoją, Marja klęcząc przy jego nogach, podaje mu proch i kulę, potem podsypuje pistolety, i wkłada mu w pas, zbójcy wbiegają ostrożnie na góry, zaczajeni, jedni kładą się na ziemi, drudzy kryją się pod skały, gotowi do napadu. Massaroni, a za nim Marja i Rubaldo, idą spiesznie naprzód, po chwili, na wystrzał Massaroniego, wszyscy wychodzą z ukryć i biegną za nim.)*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

## AKT II.

(Scena przedstawia salon w Villarosa. Przez wielkie okna w głębi widać wiejską okolicę. Po lewej drzwi, prowadzące do pokojów Markiza)

### SCENA I.

MARKIZ, PIETRO, FAEJO.

MARKIZ.

Ha, ha, ha, ze wszystkich sprawek Massaroniego, ta jest najśmieszniejsza.

PIETRO. (z powagą, w ubiorze właściwym)

Wasza wielkość, raczy mi przebaczyć, ale ja w tem nic tak śmiesznego nie widzę.

MARKIZ.

Nie dziwię się, bo ty w niczem nigdy nie wesołego nie widzisz...Przedoskonały żarcik! Dać 60 dukatów rano, aby wieczór odebrać za nie 2,000. Na honor wszyscy lichwiarze powinni mu podziękować, za ten nowy wynalazek powiększania procentów! Ale powiedz

mi proszę cię, jak on zdołał oszukać takiego starego lisa? Ha, ha, ha...

P I E T R O.

Ale racz mi wasza wielkość udzielić odpowiedzi na moje zażalenie!

M A R K I Z.

Cóż mam czynić panie poborco; nie mogę przecież kazać go powiesić, dopóki go nie złapią. Słyszałem nawet, że dziś rano, wysłano przeciw niemu oddział karabinierów; ale widać, że był za bardzo zajęty grą, ze swoim jeńjuszem, gdyż tylko schwytali dwóch jego kolegów.

P I E T R O.

Ale wasza wielkość...

M A R K I Z.

Panie poborco, ponieważ miałeś szczęście poznać go osobiście i chcesz pomścić się na nim, przeto dziś, jak tylko się zmierzchnie, chciój towarzyszyć nowemu oddziałowi, który wyjdzie na przeciw niego; a jak go pochwyca, będę się starał, aby mu kazano wynagrodzić twoją przegraną. Fabjo! Kielich wina tokajskiego dla pana poborcy.

FABJO. (*w kłopotcie*)

To...to...kajskiego wina...

M A R K I Z.

Tokajskiego, tak jest, tego, które dziś sam z Rzymu przyniosłeś; cóż to? czy niedopełniłeś moich rozkazów?

F A B J O.

Owszem, ale...

M A R K I Z.

Będziesz zadowolony panie poborco, najdoskonalsze wino, jakie tylko mieć można. Czegóż stoisz? Przynieś to wino z koszykiem.

F A B J O.

Przebacz, łaskawo panie! koszyk mogę przynieść, ale wino!..

M A R K I Z.

No i cóż głupcze, cóż wino?..

F A B J O.

Wino! Oh mój Boże!..wino już wypite!

M A R K I Z.

Jakto!..Któż się odważył?..

F A B J O.

Ludzie, którzy na więcej jeszcze odważają się, przy podanej sposobności.

M A R K I Z.

Wytłumacz się...

F A B J O.

Niosłem koszyk wina, sam jak mi to wasza wielkość rozkazałeś, już byłem w połowie drogi, słońce nadzwyczaj dopiekało, zmordowany, usiadłem sobie pod drzewem i...zasnąłem.

M A R K I Z.

A wino?

F A B J O.

Stało przy mnie! Nie wiem jak długo spałem, kiedy mię przebudziły głośne śmiechy. Jakiś uprzejmy, młody człowiek, miał już koszyk przed sobą, i rozdawał śliczne pełne butelki zgrai swoich towarzyszków, postaci ich nie bardzo była pociągająca, ale wino ciągnęli z największym smakiem, pijąc za zdrowie waszej wielkości; wypróżniwszy butelki, wstawili je w kosz. Grzeczny jegomość prosił mię, abym próżny kosz z pięknym podziękowaniem Massaromego złożył u nóg waszych.

M A R K I Z.

Przekłęcie! Moje wino wypić!

PIETRO. (*śmiejąc się mocno*)

Niech mi wasza wielkość przebaczy, ale to



jest przedoskonały żarcik! zabawił mię niewymownie, ha, ha, ha!

M A R K I Z.

Tak ciebie bawi...ale mnie...najlepsze wino mojej piwnicy! (*do Fabja*) Idź precz głupcze! (*Fabjo odchodzi*) Ten żart drogo ich kosztować będzie. (*siada i pisze*) Panie porborco, wyslij natychmiast umyślnego do Rzymu; oddział powinien być podwojony, potrójony nawet, aby otoczyć wszystkie góry w okolicy! No i czegoż jeszcze stoisz, idź przygotować się do wyprawy, napisałem do hrabiego Valdi gubernatora Rzymu, że doprowadzisz żołnierzy, aż do kryjówek tego piekielnego plemienia, które okrada mieszkańców, prawa deptcze nogami i...

PIETRO. (*n. s.*)

I wino Markiza wypija. (*głośno*) Idę wypełnić rozkazy waszej wielkości. (*odchodzi*)

M A R K I Z.

Wypić moje wino! A to rzecz niestłuchana!

## S C E N A II.

MARKIZ, OKTAVJA

O K T A V J A .

Kochany wuju, zdajesz się być rozgniewanym.

M A R K I Z .

Czyliż nie mam powodu, kiedy ten łotr Massaroni, okradł mię, i do rozboju szyderstwo dołączył! Ale odpowie mi za to.

O K T A V J A .

Massaroni?

M A R K I Z .

Tak jest Massaroni, twój bohaterski Massaroni, który tak oczarował ciebie i twoje przyjaciółki. Złodziej, po prostu złodziej, który spokojnie zabiera tabakierki, jakby tabakę zażywał, zegarki kradnie, usprawiedliwiając się tem, że nie wie, która godzina, zabija ludzi, jakby to było jego powołaniem.

O K T A V J A .

Drogi wuju, nigdy nie broniałam jego przewinień, ale miałam też nie jedną sposobność podziwiania jego wspaniałomyślności, jego

bezprzykładnej pogardy niebezpieczeństw, jego prawdziwie wyniosłego umysłu, które często błyszczą świetnie, nawet w czarnej nocy występków, w której musi ukrywać się przed surowością prawa. Wspomnij tylko mój wuju, jak postąpił z ubogą dziewczyną w Fondi, kiedy schwytał jej uwodziciela, margrabiego Amalfi, uprowadził go w góry, i zmusił zaślubić swoją ofiarę. Czyliż potem nie dopomógł bogatym datkiem nieszczęśliwej matce i dzieciociu, tak niegodnie opuszczonym? Czyliż nie on?.. (*Markiz odwraca się mocno wzruszony*) Ale cóż ci to jest kochany wuju? zdajesz się cierpieć?..

M A R K I Z.

Nic, nie! (*zakrywa oczy ręką*) Ból głowy.

O K T A V J A.

Ten szlachetny jego czyn, czyliż niegodzien uwielbienia? Pewna jestem, że i ty mój wuju spoglądasz z wzdrygnięciem na tego niegodnego rozpustnika, niełitościwego uwodziciela, którego Massaroni!.. kochany wuju, w istocie musisz być słabym!

MARKIZ. (*stara się ukryć swoje wzruszenie*)

Piekielna męko! (*głośno*) Przestań, nie mogę tego znieść! Wiesz dobrze, a jednak ciągle mówisz o tem. (*dziko*) Czy nie wierzysz mojemu słowu? Powiedziałem ci, że ból tkwi tu w głowie, rozrywa serce, jakby tyżiące wężów, jadowite żądla w niem zatopiły. Ale to dla ciebie obojętnem, ty spokojnem okiem patrzysz na moje cierpienia, jeszcze je pomnażasz twojemi ucinkami, twojém najgrawaniem się!

O K T A V J A.

Ja miałabym najgrawać się? (*przysuwa mu krzesło*)

M A R K I Z.

Bo to, co ty nazywasz szlachetnym czynem, jest śmiesznością, z dobytym puginałem zmuszać kogós do ożenienia? Czyliż sztylet morderczy mógł nagrodzić, co nieszczęśliwa namiętność zawiniła? Nędzny tehórz! Amalfi, powinien był umrzeć, a nie zawierać tych związków.

O K T A V J A.

Drogi wuju, proszę uspokój się.

M A R K I Z.

Trzydzieści lat, trzydzieści lat, a męczarnia jest jeszcze tak wielką, jak w chwili rozstania! Czyliż aż w grobu podziemia mam ponieść ten zatruty pocisk, który tkwi w mojem sercu! Żal nie może uleczyć tej rany, a bogactwa nie wygładzą boleści! *(zwolna upada na krzesło)*

OKTAVJA. *(kłęka z wzruszeniem przy jego nogach)*

Co mówisz drogi wuju?

M A R K I Z.

Oktavjo! drogie dziecię! Już się starzeję, siły mię opuszczają, cierpienia ciała niecierpliwią mię; nie zwyczaj na moją mowę, nie płacz; kiedy mię boleść ogarnie, sam nie wiem co mówię, ale ja tak źle nie myślę. Oto podarunek dla ciebie, w dzień twoich urodzin! *(dobywa pudełko, w którem jest para kosztownych bransoletek)* Drobnostka, fraszka, ale wam młodym dziewczętom, wszystko radość sprawia. Gdyby wielbiony od ciebie Massaroni zobaczył te brylanty, pewnoby je sam sobie ofiarował, lecz ja dla niego starałem się przygotować inny podarunek. *(uśmiech*

*przymuszony*) Ha, ha, ha! Widzisz, już smutek przeminął... słyszysz, już się śmieję?.. Jestem spokojny! (*uśmiecha się z boleścią*) Ha! ha! ha! (*odchodzi na lewo*)

### SCENA III.

OKTAVJA. (*sama*)

Biedny! jeszcze go nigdy nie widziała tak wzruszonym. (*otwiera pudełko*) Oh Boże! co za przepyszne brylanty! Dobry mój wuj, chcąc mi sprawić przyjemność, staje się prawie rozrzutnym. Jak mię boli, że tyle cierpieć musi! Pójdę do niego, i dziękując za tak piękny podarunek, uściskam go tysiąc razy!

### SCENA IV.

ALBERT, OKTAVJA.

A L B E R T.

Tysiąc uścisków? W istocie podarunek musi być bardzo kosztowny, kiedy na taką zasługuje nagrodę.

OKTAVJA. (*dąsając się*)

Ah! przecież pana można widzieć. Już sądziłam, że pan Albert zapomniał, iż dziś są moje urodziny.



A L B E R T.

Gdybyś pani raczyła jednem spojrzeniem udarować twój gabinet, przekonałabyś się, że ten poranek, który cię jeszcze w Rzymie oglądał, mnie widział już przy pracy. Tylko nadzwyczajny przypadek zdołał zatrzymać mnie i Teodora w naszej przechadzce.

O K T A V J A.

Przebacz mi Albercie... Patrz, podarunek o którym wspominałam... (*pokazuje mu pudełko*)

A L B E R T.

W samej rzeczy, bardzo kosztowne.

O K T A V J A.

W tych bransoletkach i naszyjniku, który mi moja matka podarowała, wydawać się będą tak świetną, jak ta dama na obrazie. Ale... przyrzekłeś mi powiedzieć, dla czego ten portret jest okryty zasłoną?

ALBERT. (*zmieszany*)

Zwykle używana przezorność, odznaczające malowania okrywać zasłoną. Wiadomo pani, że w pałacu Farnese, podobnie zasłonięty jest portret *Guido Reni*.

## O K T A V J A.

Nie, nie, na tém nie przestanę. Nie powiedziałeś sam, że w tém jest jakaś tajemnica? Czyliż raz nie zesłał niespodzianie mojego wuja, jak w głębokim zamyśleniu stał przed tym obrazem, i natychmiast go zasłonił, jak mnie tylko postrzegł? Nigdy go nie widziałam w takim gniewie jak wtenczas.

A L B E R T.

Ponieważ koniecznie chcesz wiedzieć... Słyszałem opowiadających, że ten portret ma być jakiejś wieśniaczki z Florencji, niegdyś kochanki Markiza; stosunki rodzinne niedozwalały mu połączyć się z nią, i umarła w kwiecie wieku; jednakże pogłoski jej śmierci są nie pewne. Tyle tylko jest wiadomo, że mu była bardzo drogą; albowiem kiedy poprawiłem ten obraz nieco uszkodzony, zmieniłem stosownie do jego życzeń skromny ubiór Florenckiej wieśniaczki, w bogatą odzież i świetne ozdoby. »Ogdyby się była urodziła w tym stanie,« rzekł do mnie z głębokim i bolesnym westchnieniem, »dziś nie byłbym cierpiat!«

O K T A V J A.

Ah! teraz wiem wszystko. Nieszczęśliwy! Ale pozwól Albercie, podziękować mu, za jego dar przyjaźni. Dziś wieczór będziemy tańczyć ze sobą; powiem żeś mię już zaprosił. *(odchodząc podaje mu rękę, Albert ją pocałował)*

SCENA V.

ALBERT. *(sam)*

Ah! gdyby Teodor już powrócił, co chwila go oczekuję. Jeżeli jednak nie zebrał tej summy? Markiz,..nie, jemu się nie powierzę, on by się nasmiewał z mojej rzetelności, a za nic w świecie, nie złamałbym danego słowa... Co słyszę? powoz! Czyliżby goście już się zjeżdżali?

SCENA VI.

MASSARONI, BERGAMASCO, ALBERT. *(Massaroni bogato ubrany, Bergamasco w sutym strzeleckim ubiorze, zostaje przy drzwiach)*

SŁUŻĄCY. *(anonsując)*

Margrabia Strozzi...*(odchodzi na lewo)*

A L B E R T.

Margrabia Strozzi? (*cofając się*) Nieha! mogęż wierzyć moim oczom?

M A S S A R O N I.

Cóż tak dziwnego, mój młody Rafaelu? Wszakże wam powiedziałem, że jeszcze przed północą przyszlę kogoś, który albo okup przyniesie, albo was przyprowadzi, a ponieważ do tego zlecenia, ja jestem najzdatniejszy, przeto...

A L B E R T.

Ale czy wiesz, gdzie się znajdujesz?

M A S S A R O N I.

*Cospetto!* Wiem dokładnie, w mieszkaniu Markiza Biauchi, nierozłącznego przyjaciela gubernatora Rzymu; wesołego, wspaniałego, żartobliwego pana, którego bardzo lubię, pomimo jego nienajprzyjaźniejszych względem mnie zamiarów. Wiem, że się stara, aby mię schwytano, powieszono, ale to im się nie uda, ponieważ ja w tém nie widzę żadnej przyjemności dla siebie; mają mi za złe że lubię niezawisłość. Nie wątpię, że w tej chwili jest najmocniej na mnie zagniewany; ale to nie

przeszkadza bynajmniej złożyć mu moje uszanowanie. Jesteśmy sąsiadami, a więc powinniśmy być wzajemnie grzeczni dla siebie.

A L B E R T.

Nie mogę wyjść z podziwienia...

MASSARONI. (*og'ądając się*)

*Corpo dime!* Pan Markiz mieszka bardzo pięknie, nie miałem jeszcze przyjemności; przypatrzyć się wewnątrz pałacowi w Villaro-sa; zdala tylko podziwiałem jego okazłość.

A L B E R T.

Uciekaj nieszczęśliwy. Winienem ci życie, i nie mogę zezwolić, ażebyś tak rozmyślnie narażał się na pewną zgubę. Gdyby cię poznał...

M A S S A R O N I.

Tak, gdyby... ale mnie nie pozna, ponieważ mnie nigdy nie widział!..

A L B E R T.

Może między gośćmi zaproszonymi na dzisiejszy wieczór. przypadkiem, kto...

M A S S A R O N I.

Nie obchodzą mnie wcale goście Markiza. Może się lękasz o mój sposób obejścia, w tak znakomitým zgromadzeniu. Wierzaj mi, że ja czę-

sto widuję u siebie bardzo dobrane towarzy-  
stwa, ci którzy mię znają, pewny jestem, że  
mię niezdradzą! Co się was tycze, nie wątpię,  
że milczeć będziecie.

A L B E R T.

Massaroni, jeżelibyś miał na widoku, jakie  
zbrodnicze zamiary, przeciwko Markizowi, lub  
jego siostrzenicy, dla ocalenia ich, zapomniał-  
bym o mojej przysiędze.

M A S S A R O N I.

Uspokój się. Jestem Margrabią Strozzi w słu-  
żbie Sardyńskiej, wracam do Lombardji, i  
dziś z Neapolu do Rzymu przyjechałem. Zre-  
szta Margrabią był oczekiwany... (*uśmiecha się*)  
ale sam przybyć nie może, zatrzymał go nie-  
spodziewany wypadek.

A L B E R T.

Miałżebyś się odważyć?..

M A S S A R O N I

Prosić go o jego powóz i garderobę? Ha!  
odważyłem się, a on był tak dobrym, iż z naj-  
większą uprzejmością, dopełnił życzeń moich.  
Znalazłem dogodną sposobność przybyć sam,  
po umówiony okup, i zarazem złożyć mojemu  
kochanemu sąsiadowi powinne uszanowanie.



Powóz i liberja margrabięgo, niszczą wszelkie obawy. (*śmiejąc się*) Prawda, że już od kilku lat, nieznajdowałem się w tak dobranem gronie, (*z godnością*) ale mam nadzieję, okazać się godnym nazwiska, jakie dziś przybrałem.

A L B E R T.

I ośmielisz się mówić z markizem Bianchi!

M A S S A R O N I.

Dla czegożby nie? mam do niego listy z Neapolu, które miał mu doręczyć margrabia Strozzi, wszystkie papiery mu zabrane, przyrzekłem oddać podług adresu oprócz kilku wexli, które na pamiątkę dla siebie wymienię.

S Ł U Ź A C Y.

Markiz Bianchi, prosi uprzejmie margrabięgo Strozzi, aby się raczył zatrzymać chwilę, w tym salonie. (*wskazuje na lewo*)

M A S S A R O N I.

Dobrze. (*do Alberta*) *Arivederci Signor!* Ciesz się, że miałem przyjemność zaznajomić się z panem; chętnie chciałbym dłużej z nim zabawić, ale; (*ze znaczeniem*) kazałem zajechać powozowi o północy, a kto raz da

słowo, powinien go dotrzymać. *(odchodzi na lewo za nim służący)*

## SCE NA VII.

ALBERT, BERGAMASCO.

A L B E R T.

Czy ja czuwam, czy śpię? Nie, to nie odwaga, to jest szaleństwo... Teodora nie widać, już powinien był wrócić. Którateż godzina? Ale tak! zapomniałem o żywym obrazie dzisiejszego poranku! *(do Bergamasco, który został w głębi, i uważał wszystko)* Mój przyjacielu, czy nie mógłbyś mi powiedzieć, która godzina?

BERGAMASCO. *(zbliża się grzecznie i dobywa zegarek Alberta z kieszeni)*

Żałuję bardzo, ale mój zegarek stanął.

ALBERT. *(poznaje go, osłupiały i z gniewem)*

Czy podobna? Nasz grzeczny człowiek, który tak pięknie obraz ułożył. Śmiałość za daleko posunięta.

BERGAMASCO. *(grzecznie)*

Pan zdajesz się nie najprzyjemniejszego doznawać wzruszenia? Bardzo mi przykro!

Jednakże będę prosił pana, żebyś raczył zamilczeć o pewnych małych wypadkach, które się panom wydarzyły, w czasie malarskich exkurji. Niech pan nie zważa na mnie wcale, przybyłem tu dla dokładniejszego poznania lokalu, to czasem się może przydać; bo Massa... chciałem mówić Margrabia Strozzi... w tym względzie nie jest tak przebiegły jak ja; on tylko z bronią w ręku, wie sposób jak jeden na dziesięciu uderzać powinien, ja do tego nie bardzo się kwalifikuję; wołałem więc dla rozrywki obejrzeć położenie schodów, balkonów, okien, drzwi i mebli, wiem gdzie leżą dywany, z których sobie można wykroić ciche podeszwy, wycisnąłem na wosku klucz od sali ogrodowej, wywiedziałem się nazwiska psów z dziedzińca, znam wysokość okien na każdym piętrze, i jeszcze złożyłem małą naradę z odźwiernym, który mi udzieli kilka objaśnień i potrzebnych wiadomości.

## SCENA VIII.

ALBERT, TEODOR, BERGAMASCO. (*który się cofnął do drzwi*)

ALBERT. (*do wchodzącego spieszenie Teodora*)

Cóż, jakaż nadzieja!

TEODOR.

Nie pomyślnego! Nasi opiekunowie i zyczliwi, mają tylko usta otwarte na zapewnienia swoich łask i oświadczenia żalu, ale worek zamknięty. Nasi zaś koledzy, nie dali się długo prosić, otworzyli szeroko worki, bardzo szeroko, ale...Archimedes kłamię, utrzymując: że nie ma w naturze żadnej obszerniej próżni, ehciałbym aby zobaczył ich kieszenie. Jednakże otrzymałem a conto naszych nowych obrazów tysiąc skudów.

ALBERT.

Tylko tysiąc skudów, cóż poczniemy? On jest tu!

TEODOR.

Kto?

ALBERT.

Massaroni, pod nazwiskiem margrabiego

Strozzi, rozmawia w tej chwili z Markizem Bianchi, który nie przeczuwa, kogo ma przed sobą.

TEODOR.

I dla czegoż nie uwiadomić Margrabięgo o grożącym mu niebezpieczeństwie? piękna sposobność uwolnić się z ciężącego nas przyrzeczenia.

ALBERT.

Czy zapomniałeś, że dałem mu słowo honoru?

TEODOR

'Ty jesteś za sumienny! Ja mu nic nie przyrzekłem, dla tego też...*(chce iść na lewo)*

ALBERT.

Co chcesz czynić?

BERGAMASCO. *(zastępując uprzejmie)*

Przebacz pan, ale teraz nie można przeskadzać margrabiemu Strozzi. Właśnie w tej chwili ma naradę z Markizem Bianchi, względem Neapolitańskiej pożyczki...

TEODOR. *(osłupiały)*

Co widzę!

ALBERT.

Twoja nierozwaga, może nas zgubić.

B E R G A M A S C O.

Jeżeli moja życzliwa rada, może mieć jakie znaczenie, radzę zaprzestać dociekania tego, co się tutaj dzieje. Danego słowa, powinien dotrzymać przecież uczciwy człowiek; w każdym jednak przypadku, donoszę panom że Margrabia Strozzi, ma przy sobie mocny orszak służących. Rozumiecie mię: prawda że liberja nietaka, jak dzisiejszego rana, ale rzecz ta sama została. *(kłania się i odchodzi w głąb)*

A L B E R T.

A więc trzeba się oddać w ich moc, o północy wrócić z nimi w góry.

T E O D O R.

Nie, przysięgam, że do tego nie przyjdzie! Ponieważ jeden z nas ma być zakładem okupu; a więc ja powrócę, moja nieobecność nie zasmuci żadnego serca, a ty mając więcej czasu, wystarasz się o pieniądze, nim ci panowie z gór cierpliwość utracą. Pójdź, pójdź bądź dobrej myśli, i zdaj na mnie rzecz całą, ja mu to sam powiem i w twojej obecności. Ile go poznałem, towarzystwo we-



sołego malarza, przyjemniejszém mu będzie, jak smutnego kochanka. (odchodzą srodkowemi drzwiami)

Z M I A N A.

(Sala gościnna w pałacu Villarosa, w głębi troje wielkich drzwi, które za otwarciem, dają widok na ogród sztucznie oświecony. Na ścianach obrazy; naprawo w pierwszej kulisie, zasłonięty portret, wyobrażający kobietę, bogato ubraną. Pod tym obrazem drzwi skryte. Nieco w głębi potężnej stronie okno, po lewej dwoje drzwi do gabinetów. Przy ścianach kanapy, przed niemi stoliki do gry, kandelabry, lustra it. p. Na stole po prawej pudełko z bransoletkami i gitara, przy nim krzesła)

SCENA IX.

MASSARONI. (sam)

Jego wielkość daje coś długo na siebie czekać! Gdybym wymienił moje nazwisko, już by tu był oddawna. (przypatrując się obrazom) Piękne obrazy, wistocie Markiz Bianchi ma gust. Cóż to jest? (otwiera pudełko

z brylantami) Brylanty! pierwszej mody! Co za nierozsądek zostawiać takie rzeczy pod ręką. (og'ądając się do kóła, jakby je chciał wziąć) Gdyby tu był mój Bergamasco, albo który z bandy Massaroniego, ręczę, żeby nie doleżały. (kładzie je na powrót, i bierze gitarę) Może też odgłos gitary, przypomni panu Markizowi, że czekam na niego. (siada i śpiewa)

Ś P I E W.

Postępuj dziewczę,

Nie uchodź mi,

Miłości piosukę,

Zaśpiewam ci.

„Już i tak jestem,

„Za długo tu,

„Noc się przybliża,

„Już nie mam tchu.

„Ja biedna sama,

„A zbójca tuż,

„Twych śpiewów słuchać,

„Niemogę już!”

(Oktawja wchodzi z lewej strony staje i słucha)

Wszystko pokona

Twój władzy moc,

Heban tych włosów,  
Jak czarna noc,  
Oczu spojrzenie,  
Ta silna skra,  
Rwą serce zbójcy,  
I trwożny drga!  
Ach miłe dziewczę,  
Nie bój się, nie,  
Słuchaj mej śpiewki,  
Miłością technie!

## S C E N A X.

OKTAVJA, MASSARONI.

MASSARONI. (*postrzegając Oktavję*)

Przebacz pani! (*klania się i kładzie gitarę na stole*)

OKTAVJA. (*klaniając się nawzajem*)

Mój wuj polecił mi prosić pana o przebaczenie, że tak długo czekasz na niego; ale w tej chwili przybył do Villarosa umysłny z papierami od Gubernatora Rzymu...

MASSARONI.

Oh! pani, proszę... (*Oktavja idzie do stołu, Massaroni mówi do siebie*) Szkoda, że nie-

wiedziałem o tém, była wyborna sposobność,  
wykonać mój plan... gdyby też Rubaldo...  
jest blisko... ale nie! Dałem słowo malarzom,  
i dotrzymam go.

O K T A V J A.

Przebacz pan ciekawości, ale jaki romans  
pan śpiewałeś, gdym tu weszła?

M A S S A R O N I.

Śpiewkę żyjącą w ustach ludu! Znany Mas-  
saroni ma ją często śpiewać.

O K T A V J A.

Nigdy jej nie słyszała, czy jest więcej  
zwrotek?

M A S S A R O N I.

Jeszcze jedna tylko.

O K T A V J A.

Gdybym śmiała prosić pana!..

M A S S A R O N I.

Z największą chęcią. (*do siebie*) Szczegół-  
niejsze położenie.

Trwożliwe dziewczę,

Posłuchaj mnie:

Gdy ja przy tobie,

Nie lękaj się.

Przed zbójcą schronić,

Pragniesz się tam,  
Gdy Massaroni  
Spiewa ci sam.

*(Oktawja mimochętnie przeraża się dzikiem  
spojrzeniem Massaroniego, ten postrzega to, i  
kończy bez znaczenia śpiewkę.)*

Posłuchaj dziewczę,  
Nie uchodź mi,  
Miłości piosnkę  
Zaśpiewam ci.

O K T A V J A.

Teraz sobie przypominam, że ją kiedyś słyszała; jednak pan margrabia śpiewał ją z takim wyrazem, że mi się zupełnie nową zdawała. A potem już tyle jest śpiewek o tym nadzwyczajnym człowieku. Czy uwierzysz panie margrabio, że ja sama nieraz miewam o niego małe sprzeczkę z moim wujem, ujmując się za tym sławnym rozbójnikiem. Ale to nieledwie powszechny błąd dziewcząt, że wszystko co nosi na sobie cechę niezwykłą, wiąże nas do siebie, odwaga i wspaniałomyślność, są to przymioty, które w nim najwięcej cenię.

M A S S A R O N I.

Pani jesteś zbyt dobrą, przyznając mu odwagę i wspaniałomyślność.

O K T A V J A.

Nikt nie wątpi o tém? czyliż mało dał dowodów swojego mężstwa i pogardy niebezpieczeństw?.. *(słychać muzykę)* Ah otóż mój wuj i wszyscy goście.

## S C E N A XII.

MARKIZ, BIANCHI, HRABIA CARAFFA, TEODOR, ALBERT, OKTAVIA, MASSARONI, GOŚCIE. *(służący wnoszą świeczniki. stawiają na stolikach, przy których siadają goście i zaczynają grać.)*

BIANCHI *(idąc do Massaroniego)*

Panie margrabio. racz mi przebaczyć... ale moja siostrzenica zapewne mu doniosła...

M A S S A R O N I.

Ach! Panie Markizie..! mam zaszczyt złożyć panu listy z Neapolu ..

B I A N C H I.

Cieszę się bardzo, że mam przyjemność poznać margrabiego Strozzi... *(drzwi w głębi otwierają się, słychać muzykę w ogrodzie. Markiz siada przy stoliku i gra w ecarté z*



z Hrabią *Caraffa Massaroni* przypatruje się,  
*Teodor i Albert* wchodzi)

TEODOR (*do Alberta na przodzie sceny*)

Patrz, oto stoi! uważ tylko z jaką obojęt-  
nością przypatruje się grze. (*w ogrodzie tań-  
czą kadryle*)

A L B E R T (*do Teodora*)

Bankier Leggio w ogrodzie, bardzo mię lu-  
bi, pomówię z nim, może on wydzwignie nas  
z kłopotu. (*odchodzi do ogrodu*)

OKTAVJA (*z wielu młodemi damami, zbliża  
się do Teodora*)

Proszę cię gdzie masz twoje szkice, chciła-  
bym pokazać moim przyjaciółkom, te piękne  
widoki, które dziś...

TEODOR.

Są to tylko same przypomnienia, niegodne  
waszych względów; raczcie się panie zatrzy-  
mać, dopóki nie wykończę całego rysunku.

OKTAVJA.

Nie, musisz nam natychmiast pokazać, je-  
steśmy bardzo ciekawe widzieć...

TEODOR.

Nie mogę, przysięgam; mam ważne przy-  
czyn...

O K T A V J A.

Nie słucham tego wcale, a ponieważ nie chcesz przynieść; ja wiem gdzie leżą, pójdę sama po nie. *(wybiega na lewo)*

T E O D O R.

Na imie Boga, Oktavjo, Oktavjo, co czynisz! *(śpieszy za nią, słyhać ciągle muzykę i tańiec, Hrabia Carafa wstaje od gry, rozmawia z jednym z gości, służący reznoszą chłodniki Bergamasco staje za krzesłem Massaroniego)*

MARKIZ. *(do Massaroniego)*

Panie Margrabio czy nie raczysz zastąpić Hrabiego, los mu nie sprzyjał? *(wskazuje na krzesło)*

M A S S A R O N I.

Chętnie. *(siada)*

M A R K I Z.

Czy pan Margrabia mieszka w Medjolanie?

M A S S A R O N I.

Ja wistocie, nie mam stałego zamieszkania, lubię odmianę.

M A R K I Z.

Czy tak? lubisz podróże?

M A S S A R O N I

Nadzwyczajnie, tak dalece, że mogę śmiało mówić, iż mieszkam na publicznych drogach.

CARAFFA (*oparty o krzesło Markiza Bianchj.*)

Ale Markizie, Margrabia Strozzi mści się za mnie.

M A R K I Z.

W samej rzeczy, szczęście mu sprzyja. (*dalej nowe karty*) Czy pan urodziłeś się w Medjo-lanie?

M A S S A R O N I.

Nie, we Florencji!

M A R K I Z. (*wzruszony*)

We Florencji? (*ukrywając wzruszenie*) Kochany margrabio, znówu masz mocne karty. Niebezpiecznie grać z tobą.

M A S S A R O N I. (*z znaczeniem*)

Wistocie, wstydzę się... zabrałem wszystkie pieniądze ze stolika, sam, Massaroni nic więcej by panu nie uczynił; nie mógłby się z nim gorzej obejść.

M A R K I Z.

Co, czy i pan słyszałś o tym łotrze? Wkrótce położą koniec jego rozbójniczym napadom... Mamy zamiar...

M A S S A R O N I.

Czy tak? będzie cokolwiek przy trudno, tem bardziej, że już tyle wypraw się nie powiodło; chyba że sposób...

M A R K I Z.

Wyborny, ja sam podałem go Gubernatorowi Rzymu, podobał mu się; powiem ci skrycie, bo lękam się, żeby się nie dowiedział przypadkiem. (*mówi mu do ucha, Bergamasco nachyla się, niby objaśniając świecę, Markiz głośno*) Jakże się panu zdaje? Dwudziestu przeciw jednemu, ręczę że go pochwyć niezawodnie.

M A S S A R O N I.

Być może, jednak nie chciałbym się o to założyć.

M A R K I Z.

Między nami mówiąc (*kladzie poufale rękę na ramieniu Massaroniego*) wiem, gdzie nawet w tej chwili się znajduje.

M A S S A R O N I.

Czy tak? A więc strzeżcie się, żeby wam znowu nie uszedł.

M A R K I Z.

Mam doniesienia z najpewniejszego źródła. Dziś złapał w zdradziecką swoją sieć starego

lisa, poborcę Pietro, któremu za 60 sztuk zło-  
ta, wziął 2000. Ha, ha, ha! później opowiem  
panu szczegóły tego wybornego podejścia.—  
Smiałość jego bezprzykładna! czy uwierzysz  
temu, że pił moje zdrowie, mojem własnem  
winem, na drodze zrabowaném!

MASSARONI. (*bierze kielich wina z tacy, któ-  
rą mu Bergamasco podaje*)

Przedziwnie! zdrowie Waszój Wielkości! (*pije  
i kłania się hrabiemu*)

M A R K I Z.

Dziękuję, dziękuję. Znowu przegrałem!

## SCENA XII.

CIŻ I SŁUŻĄCY-

S Ł U Ż Ą C Y.

Oddział żołnierzy przybył z Rzymu.

M A R K I Z.

Niech spoczną chwilę, i nabijają broń; wkró-  
tce otrzymają przewodnika. (*służący odchodzi*)

MASSARONI. (*d. s.*)

*Corpo di me!* Oddział żołnierzy! (*głośno*)  
Wyprawa, i jeszcze tak późno?

M A R K I Z.

Widzisz pan, że mówiłem prawdę! Już ja

mu się przysłużę; ale na honor panie margrabio, obrałeś mię zupełnie z pieniędzy.

MASSARONI. (z uśmiechem)

Tak, tak, to mi się często przytrafia.

MARKIZ. (wstając)

Panie margrabio opuszczam cię na chwilę, ale muszę pomówić z dowódcą oddziału, i dać mu potrzebne objaśnienia. Zaręczam ci, że tym razem, ten łotr nam się nie wymknie.

M A S S A R O N I.

Jest w tak dobrych rękach, zdaje mi się, jak gdyby już tu był, jak gdybym go widział przed panem!

M A R K I Z.

Zobaczemy go niezadługo. (wychodząc) Pan hrabia zastąpi mię przy *ecarté*.

M A S S A R O N I

Jeszcze nie widać ich z okupem, biada im, jeżeli nie dotrzymają słowa! (do hrabiego *Carraffa*, który usiadł przy stoliku i zażywa *tabacę*) Piękne brylanty!

C A R A F F A.

Tę *tabakierkę* otrzymałem od Króla Neapolitańskiego; bardzo kosztowna, dla tego też w drodze ukrywam ją starannie w pewną skry-



tkę, żeby się przypadkiem nie dostała w ręce Massaroniego. Czy pan bierzesz czasem?

MASSARONI.

Tak, biorę czasem! (*przypatruje się tabakierce i bierze tabakę*)

### SCENA XIII.

CIŻ, OKTAVIA, (później) TEODOR, PIETRO.

OKTAVJA (*z uśmiechem, do kobiet którym pokazuje rysunki Teodora*)

Mam je, mam, wyrwałam mu. Nie dobry, niechcieć nam pokazać, chociaż go tak prosiliśmy! Ah! jak czarowne widoki! To Tivoli, to Genzano, a tu... o Boże! to Massaroni!

MASSARONI. (*dostyszał*)

Massaroni!

OKTAVJA.

Tak, tu przynajmniej podpisano! Co za prześliczna głowa!.. jakie spojrzenie... Ale gdzież on go widział? (*zadziwiona, spogląda raz na rysunek, drugi raz na Massaroniego*), Wistocie, podobieństwo zadziwiające!

MASSARONI. (*d. s.*)

(*Odwaga!* (*głośno*) Pozwól mi go pani zobaczyć! (*bierze rysunek*).

1\*

TEODOR. (*wbiega prędko*)

Oktavjo! proszę cię, nie pokazuj tych rysunków...

M A S S A R O N I.

Pozwól pan... (*z uśmiechem*) Ha, ha, czy to pan rysowałeś?

TEODOR. (*przełękły*)

Tę jest... tak... ale z pamięci...

O K T A V J A.

Z pamięci?!

T E O D O R.

Nie... utworzyłem sobie.

M A S S A R O N I.

Byłem tego pewny! (*patrzy na Teodora wrokiem przenikającym*) Prawdziwie szkic mistrzowski, godzien wielkiej pochwały; lecz osoba, której nazwisko podpisane, zupełnie do tego rysunku nie podobna. Widziałem go, i mogę o tem sądzić z pewnością... (*z uśmiechem*) ha! ha! im bliżej się przypatruję, widzę w tym rysunku więcej podobieństwa do mnie, jak do Massaroniego. (*oddaje Teodorowi papier*)

PIETRO. (*wchodzi z ogrodu, szukając Markiza*)

Przebacz mi pani! (*do Oktavji*) Ale jej wuj, kazał mi... miałem być przewodnikiem oddzia-

lu...! *(postrzega Massaroniego i wydaje krzyk przerażenia)* Ah! ah!

MASSARONI. *(d. s.)*

Zginąłem!

PIETRO. *(krzycząc)*

Massaroni! *(wskazując na niego)* Piekła! to on!

WSZYSCY. *(przerażeni)*

Massaroni! *(uciekają różnemi drzwiami, i natychmiast je zamykają. Massaroni zostaje sam przez chwilę nieporuszony)*

## SCENA XIV.

MASSARONI *(sam, później)* ALBERT.

Poznano mię! Przekłęcie!.. *(biega od drzwi do drzwi i stara się otworzyć)* Wszystko zamknięte! Może to okno? *(otwiera gwałtownie okno)* Żelazne kraty! Szalony! padnę ofiarą mojej zbytecznej śmiałości, ale jeszcze nie jestem w ich rękach! *(wyjmuje dwa pistolety i sztylet. Jeden pistolet kładzie na stole, a drugi naciąga)* Drogo ich moje życie kosztować będzie. Odgłos wystrzałów przywoła Rubalda, śmierć moja przynajmniej pomszczo-

ną zostanie! (ogląda się) Ah! ta zasłona... może drzwi skryte!.. (odsuwa zasłonę, przestrzega obraz, przerażony cały) Co widzę! Ta twarz! te rysy tak dobrze mi znane, (wrymuje miniaturę, którą ma na piersiach i porównywa ją z obrazem) To ona, tak to moja matka! (pada na kolana)

ALBERT. (wbiega skrytemi drzwiami)

Massaroni, ty dziś ocaliłeś nam życie, teraz twoje ocalić jest naszą powinnością. Pójdź za mną, Teodor z okupem czeka nas w ogrodzie. Uciekaj; póki czas.

MASSARONI. (do najwyższego stopnia wzruszony)

Zaklinam cię na wszystko, co masz najświętszego; powiedz czyj to jest obraz?

A L B E R T.

Powiem ci, ale pójdź, nie ociągaj się dłużej.

M A S S A R O N I.

Nie, żadna potęga świata nie zdoła mię odciąć od tego obrazu; tu chcę umrzeć! Bła-

gam cię, jeżeli litość ma przystęp do twojego serca, powiedz mi, kto to jest?

A L B E R T.

Młoda wieśniaczka z Florencji!..słyszysz, nadchodzą!..

M A S S A R O N I.

Ale cóż znaczy ten bogaty strój, te klejnoty?

A L B E R T.

To ja na rozkaz Markiza zmieniłem wieśniacze suknie...bo ona była kiedyś jego kochanką.

M A S S A R O N I. *(z krzykiem)*

Ha! Co za światło! poznałem okropną tajemnicę! Obmierzły złodzieciu, nadszedł czas zasłużonej kary! Tak, uchodźmy prędko! Jeszcze nie powinienem być schwytany, nie mogę jeszcze umrzeć, nie, jeszcze nie! jeszcze chwilę życia, dopóki nie dopełnię mojej przysięgi, jedynej myśli życia mojego! Pójdźmy!

A L B E R T.

Tu, tędy przez te skryte drzwi! *(śpiesznie odchodzą)*

SCENA XV. ; Ostatnia.

OFICER, ŻOŁNIERZE, PIETRO, MARKIZ, OKTAVJA, GOŚCIE. (*wszystkie drzwi razem się otwierają, obsadzone żołnierzami, ogród oświetlony blaskiem pochodni*)

M A R K I Z.

Jednak uszedł!

P I E T R O.

Przez to cknno!

M A R K I Z.

Niepodobna! Ah! drzwi skryte otwarte, prowadzą do mojego gabinetu, jeszcze nie mógł wyjść. (*do żołnierzy*) Spieszcie za nim. (*kilku żołnierzy i oficer wchodzi skrytymi drzwiami*) A wy stańcie przy oknie. Drzwi z gabinetu prowadzą w tę stronę ogrodu, jak tylko je otworzy i wyjdzie, dacie ognia.

O K T A V J A.

Wuju! nie zabijaj go; ulituj się.

M A R K I Z.

Co? litować się, nad zbójcą, mordercą! Nie sprawiedliwość musi mieć swoją ofiarę.

PIETRO. (*stanął na krześle i patrzy ponad głowami żołnierzy*) Otóż on!



M A R K I Z.

Pal! *(żołnierze strzelają przez okno i cofają się)*

OKTAVJA. *(wydaje krzyk)*

P I E T R O.

Trafiony! Chwieje się, schwytano go, i prowadzą. *(schodzi ze krzesła)*

ALBERT i TEODOR. *(wchodzą szybko skrytemi drzwiami)*

Na imię Boga, cóżes uczynił panie? *(żołnierze wprowadzają Massaroniego ranionego w głowę)*

M A R K I Z.

Moją powinność! świat jest pomszczony.

ALBERT. *(wskazując na obraz)*

I Olimpja także.

MARKIZ. *(ostępiały)*

Oлимпja?

A L B E R T.

To była jego matka!

MASSARONI. *(zbliża się z wolna do Markiza, dobywa skrycie sztylet)*

Mój ojciec! *(pada i umiera)*

MARKIZ. *(z przerażającym krzykiem)*

Mój syn! mój syn!



# PODSTARZAŁA PANNA.

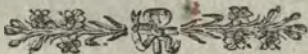
KOMEDJO-OPERA  
W JEDNYM AKCIE.

*z francuzkiego*

PP. Bayard i Chabot de Bouin

TŁUMACZONA.

Muzyka, Józefa Damse.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ  
NA TEATRZE ROZMAITOŚCI.

*dnia 3 Lipca 1836 r.*

## O S O B Y.

**PANNA WALKER**, lat 45 mająca, JP*i*. *Kostecka*.

**GRAFEN**, doktor, JP. *Baraniecki*.

**ZUZIA**, siostrzenica p. Walker, JPa. *Możdżeńska*.

**FRANUSIA**, służąca, JPa. *Werowska*.

**ALEXY VANDERTRUN**, kwa-

- termistrz, JP. *Jasiński*.

**JERZY**, - JP. *Giżewski*.

*(Rzecz dzieje się w Liège, w wiosce panny  
Walker.)*

# PODSTARZAŁA PANNA.

*(Scena przedstawia pokój, drzwi w głębi i boczne; po prawej stolik do pisania)*

## S C E N A I.

JERZY, ZUZIA, PANNA WALKER. *(Za podniesieniem zasłony, Zuzia siedzi na prawo i trzyma książkę, Jerzy pisze z tejże strony, panna Walker śpi w wielkiem krześle po lewej)*

JERZY. *(wstaje, i zbliża się do Zuzi)*

Ona spi.

Z U Z I A.

Cicho milczenie!

J E R Z Y.

Czegoż jej się obawiasz?

Z U Z I A.

Wszakże ona jest wszystkiem dla mnie.

J E R Z Y.

A ja, który cię tak kocham...

Z U Z I A.

Cicho!

P. WALKER. (*przez sen*)

Boże!

ZUZIA. (*przełękła*)

Ah Jerzy, wróć na miejsce. Pomnij że byłabym zgubioną gdyby dostrzegła.

J E R Z Y.

By rozproszyć twoją trwogę, pozwól, jedno pocałowanie... Nie lękaj się. Spi... (*chce ją uściskać*)

## S C E N A II.

JERZY, FRANUSIA, ZUZIA, PANNA WALKER.

FRANUSIA. (*wchodzi prędko z głębi*)

Panno! (*Jerzy i Zuzia rozłączają się*) nie czyńcie sobie przykrości...czy śpi?... (*do Zuzi*) zkadże taki smutek, czy panienkę wylaję!

Z U Z I A.

Oh nie, bynajmniej...

F R A N U S I A.

Ale tak...i to mię nie dziwi: nasza panna jest bardzo dobra, ale od kilku dni, krótko przed



przybyciem panienki do tego domu, jest smutna, cierpiąca, ciągle w złym humorze.

J E R Z Y.

I dla czego?

F R A N U S I A.

Dla czego?

P. WALKER. (*j. w.*)

Żegnam cię...żegnam cię Alexy!

Z U Z I A.

Marzy...

J E R Z Y.

Alexy?..

F R A N U S I A.

Wyborczy chłopiec...kwatermistrz regimentowy szwoleżerów, który zeszłego tygodnia wyjechał ząd ku granicy...ah slichoy to.

Z U Z I A.

Ten regiment?..

F R A N U S I A.

Eh nie. .pan Vandertrun.

Z U Z I A i J E R Z Y.

Vander...

F R A N U S I A.

Vandertrun...ah! ah! ah!

Z U Z I A i J E R Z Y. (*śmiejąc się*)

Ah! ah! ah!

J E R Z Y.

Co za nazwisko!

P. WALKER. (*przebudzona hałasem*)

Cóż to jest...ah to ty Zuziu...mój flakonik!

Z U Z I A.

Oto jest, czy ci lepiej moja ciociu.

P. W A L K E R.

Nie, cierpię na serce, miałam sen bardzo nie-  
spokojny.

F R A N U S Y A.

Ale pomimo tego panna bardzo pięknie wy-  
gląda.

P. W A L K E R.

Ani słowa; sama nie wiesz co mówisz.

J E R Z Y.

Oto rachunek który panna poleciłaś mi  
przepisać.

P. W A L K E R.

Dziękuję, dziękuję...czyż mogę teraz o tem  
myśleć mój kochany Jerzy? wróc do ojca przyj-  
dziesz jutro, dopomożesz mi...dziś mam bicie  
krwi, wapory, niczem zając się nie mogę...Ah  
Franusiu!..

F R A N U S I A.

Pani...(*p. Walker spogląda surowo*) Co pan-  
na rozkaże?

P. WALKER. (*zadowolona*)

Czy doktor nie przyszedł?

FRANUSIA,

Jeszcze nie, kiedy panna posłała mię po niego nie było go w domu; a potem wiadomo, że nie lubi tu bywać od czasu jak p. Vander-trun...

P. WALKER. (*z żywością wstając*)

Franusiu! zabroniłam ci wymawiać to nazwisko, zakazuję to jeszcze raz... przykróć mi sprawa, rozjątrza nerwy... Zuziu, flakonik... słuchaj no Jerzy... wracając do ojca wstąp do p. Grafeu, powiesz mu żeby tu dziś przyszedł, natychmiast.. jestem słaba... Czekać go, zejść do ogrodu odetchnąć świeżym powietrzem... (*Zuzia chce iść z nią*)

SPIEW, Nr 1.

ZUZIA.

Moją pomoc przyjmij mile,

P. WALKER.

Zostań tutaj moja mała,

Serce bije, głowa pała,

Pragnę być sama przez chwilę.

(*odchodzi*)

JERZY. (*cicho do Zuzi*)

Doktorowi, moje życie,

Wszystko zwierzę,

FRANUSIA.

Dobry Boże!

Kiedy serce bije skrycie,

Żaden doktor nie pomoże.

### SCENA III.

ZUZIA, FRANUSIA.

ZUZIA. (*n. s.*)

Jak przyjmie podobne zwierzenie?.. a jeżeli odmówi nam pomocy?..

FRANUSIA.

Cóż to pannie, zdajesz się tak niespokojną?..

ZUZIA.

Ja? być może, zdrowie mojej cioci...

FRANUSIA.

Niech panienka nie zważa na to, zwykłe wapory, nie mogłaby żyć bez nich; pewna jestem, że gdyby tydzień nie chorowała, nie byłaby tak zdrową jak jest, i te wapory powiększają się nawet od wyjazdu p. Vandertrun.

RUZIA.

Jeszcze! nakoniec powiedz mi: kto jest ten Vandertrun, którego ciągle wspominasz?

FRANUSIA.

Kwatermistrz...

ZUZIA.

Szwolężerów, już wiem, ale cóż on tu porabia?

FRANUSIA.

Tak się rzecz ma!.. po wojnie, przyszedł tu wraz z pułkiem walecznie odpocząc sobie... Oficerowie zamieszkali w mieście, a pana Vandertrun przysłano do panny Walker; najgodniejszy chłopiec, jakich kiedy znałam; cały dom, zacząwszy od piwnicy, przewrócił do góry nogami; a potem jego obejście było tak godne! zawsze śpiewał, zawsze kieliszek wręku, fajka w ustach... Zdaje mi się, że go jeszcze słyszę. „Franulku! wina! araku!“ albo czego innego! ale zawsze prawie, araku lub wódki dla odmiany...

ZUZIA-

I moja ciotka przyzwyczaiła się do tego?

FRANUSIA.

Pomału; bo domyślasz się pannunia, że bogata panna Flamandzka prosto się trzymająca.. nie mogła z początku znieść takiego pustaka, jak kwatermistrz. Zresztą, przyjemny miły,

tak pięknie opowiadał kampanje... a ciotka pani lubi to bardzo; szczególnie kiedy zaczął mówić o oblężeniu, byłaby go cały dzień słuchała nie jedząc ani pijąc; i pewnego wieczora do tego stopnia zajęła się jego opowiadaniem, że usnęła w swoim fotelu z jednej strony, a pan Vandertrun z drugiej. Nagle, będąc w przyległym pokoju uczuwałam jakiś swąd, biegnę tu... ogień!..

Z U Z I A.

Dla Boga!

F R A N U S I A.

Wołam pomocy, kwatermistrz zemdlała pannę Walker wyrywa z płomieni, i skończyło się na strachu i czterech czy pięciu spalonych firankach.

Z U Z I A.

Od tego czasu pewnoby już z mniejszém upodobaniem słuchała oblężenia.

F R A N U S I A.

Być może!.. ale opowiadający nie na tem nie stracił; winna mu ocalenie życia i chcąc mu w części wynagrodzić jego odwagę, cały dom oddała pod jego rozporządzenie od piwnicy aż do stodoły, i nie żałował sobie,



szczególniej nie oszczędzał piwnicy; jednakże w wilją swego odjazdu, panna rozgniewała się na niego, zaprosił bowiem na wieczerzę pięciu czy sześciu kolegów...

Z U Z I A.

Dobrze więc, że odmienił stanowisko...

F R A N U S I A.

SPIEW NR0 2.

Cóż gdy z oddaleniem  
Smutek życie truje,  
Już szczęście marzeniem  
Wciąż czegoś brakuje.  
Serce się przestrasza...  
A przyczyna cała?..  
Bo wesołość nasza  
Z pułkiem odjechała.

Są chwile, że i mnie napada chętka użalania się na wapory.

Z U Z I A.

Eh, co za dzieciństwo!

F R A N U S I A.

Szczęściem że nasza panna kazała poprosić pana Grafen doktora, który także jest zacnym człowiekiem, ale winnym rodzaju; nie bywał u nas przez cały czas pobytu kwatermistrza.  
(cicho) Myślę że przez zazdrość...

Z U Z I A.

Co? co mówisz?

F R A N U S I A.

Cicho...'

## SCENA IV.

JERZY. ZUZIA. GRAFEN, FRANUSIA.

J E R Z Y.

Proszę, proszę panie doktorze, czekają na ciebie.

G R A F E N.

Czekają na mnie... ah więc stan choroby jest zatrważający... Jak się masz Zuziu!

Z U Z I A.

Witam pana. Czy poróżniłeś się z moją ciotką?

G R A F E N.

Poróżniłem się na śmierć.

J E R Z Y.

Tam do kata; klótnia z doktorem, niebezpieczna sprawa!

G R A F E N.

I gdyby nie ludzkość, noga moja nie postąpiłaby w tym domu...

F R A N U S I A.

Jako! tak dobra klientka!

G R A F E N.

Klientka! mało mnie obchodzi... dzięki mojej zdatności, charych mi nie brakuje...

ZUZIA. (*do Jerzego*)

Powiedziałeś mu...

JERZY. (*do Zuzi*)

Nie, nie śmiałem.

GRAFEN.

Ale gdzie jest pacjentka? niechże ją widzę, niech zobaczę puls, wyexpeduję i oddalę się.

FRANUSIA.

Oh, cóż tak nagle; pewna jestem, że pan zostanie. Pójdę jej donieść...

JERZY.

Nie, zatrzymaj się chwilkę, chcę pomówić z doktorem.

GRAFEN.

Hm! *konsulta!*

FRANUSIA.

Dobrze, ale spiesz się pan.

ZUZIA.

Żegnaj panie doktorze, zostawiam cię z Jerzym, polecam twojej przyjaźni to, co ci ma powierzyć; jesteś tak dobrym, i kochałeś tak mojego ojca!.. (*cicho do Jerzego*) Odważnie! (*głośno*) Pójdź Franusiu.

GRAFEN. (*patrząc za nią*) Co to znaczy?

ZUZIA. (*odchodząc, przyjaźnie*) Żegnaj cię. (*wychodzi z Franusią*)

## SCENA V.

JERZY, GRAFEN.

GRAFEN.

Przedziwne dziecię!..tak, kochałem jej ojca  
był notariuszem a ja lekarzem!..

SPIEW, NRO 3.

Zyliśmy jak przyjaciele,  
Oba bogaci w klientów,  
On mi chorych zsyłał wiele,  
Ja, co chcieli testamentów.  
W postępkach godnych wytrwali,  
Wspólność przysług była zatém;  
Zawsześmy się kwitowali,  
Gdy się chorzy rozstał z światem.  
(ocierając łzy) Żałować go będę całe życie.  
(podczas śpiewki Jerzy zamknął drzwi)

JERZY. (n. s.)

Śmiało, ten tylko sposób zostaje. (zbliża  
się)

GRAFEN.

Zdaje mi się że to co masz mi powiedzieć  
tycze się i Zuzi.

JERZY.

Tak trochę.

G R A F E N.

Zgaduję...kochasz?

J E R Z Y.

Ah z całej duszy!.. kocham Zuzię, nie mogę żyć bez Zuzi.

G R A F E N.

Ani ona bez ciebie...to się samo z siebie rozumie...oh źle!..panna Walker, która, pomimo tego że jest bogatą i w młodości miała tyle partji stosownych, a jednak odrzuciła wszelkie związki, ani słyszeć nie chce o małżeństwie, tém bardziej oddala nawet myśl połączenia kiedyś Zuzi; nie jesteś bogatym, nie masz prawie nic; a więc jeszcze jedna przeszkoda. Ona nie odda nigdy swojej siostrzenicy człowiekowi nie mającemu żadnego znaczenia i sławy.

J E R Z Y.

To właśnie mię do rozpaczki przywodzi.

G R A F E N.

Dla czego...dwa lub trzy lata...

J E R Z Y.

Dwa lub trzy lata...umrę.

G R A F E N.

Ja czekam od lat 24, a widzisz że nie umarłem, przeciwnie...

J E R Z Y.

Ale jeżeli nie można czekać...

G R A F E N.

Ah! to znów co innego...

J E R Z Y.

Przez litość, nie opuszczaj nas...a wszyscy będziemy ci wdzięczni nieskończenie!

G R A F E N.

Wszyscy, tam do kata!...Jakto?

J E R Z Y.

Nie mógłbym tu zostać ani chwili, gdyby najmniejszą powzięła wiadomość...

G R A F E N.

Czegóż więc chcecie od niej?

J E R Z Y.

Pozwolenia na nasz związek.

G R A F E N.

Ale to trzeba było zacząć od tego; śliczna metoda, pierwój się zakochać, a potem prosić o pozwolenie kochania się.

J E R Z Y.

Tylko ty panie doktorze możesz wyjednać u p. Walker...

G R A F E N.

I to na mnie liczyliście, bardzo dziękuję. Stara panna, najrozsądniejsza, niewinna jak



dziecię w 15 wiosnie; sama cnota, powziąwszy niewzruszone postanowienie, że stan paniński jest najpiękniejszy, że bezrozumna tylko zmienić go pragnie...pięknie by mię przyjęła, gdybym się odezwał z propozycją...Ah! to nie podobna ...

J E R Z Y.

Kiedy tak, a więc mi tylko śmierć pozostaje... Zegnam cię!...

GRAFEN. (*zatrzymując go*)

Śmierć!.. czekaj... otóż jeszcze jednegoby mi zarzucali. Słuchaj.. nie zwykłem nigdy opuszczać chorych w ostatniej chwili, wtenczas właśnie potrzeba odwagi... i będę ją miał...

J E R Z Y.

Ah panie dektorze, jakże ci zdołam zawdzięczyć...

G R A F E N.

Pomyślemy o tem, najtrudniej zacząć ten interes... jeszcze mnie, poróżniwszy się z panną Walker...

JERZY. (*idąc w głąb*)

Ah moją Boże, otóż ona.. drzę cały.

G R A F E N.

A ja, nie czuję ani kropli krwi w żyłach. Spiesz, idź po twojego ojca, i stryja plebana który cię wychował...Będę się starał jak najpomysłniej załatwić tę sprawę.

J E R Z Y.

Do widzenia kochany panie Grafen, uda ci się nie zawodnie, dla pana wszystko jest łatwem. *(wychodzi głębia, Grafen go zatrzymuje)*

G R A F E N.

Nie tędy...*(wskazując mu drzwi na prawo)* przez salę jadalną. *(sam)* Wszystko łatwem, niech mię kaci porwą jeżeli wiem jak przystąpić do tego!. Już słyszę jak na mnie powstanie bo panna kiedy sama zamąż nie pójdzie, chce żeby wszystkie pannami umierały.

SPIEW NRO 4.

Nienawiścią dla nas płonie,

Związkami gardzi ślubnemi,

I gniew będący w jej łonie,

Chce podzielić ze wszystkimi.

I dla tego to zawzięta,

Uczy zdradą miłość cenić;

Wstret związków wpaja w dziewczęta,

Aby ród męzczyzn wyplenić!

## SCENA VI.

PANNA WALKER, GRAFEN.

PANNA WALKER. (*w głębi*)

Panie Grafen! Mój przyjacielu, jakże się cieszę, że cię widzę.

GRAFEN. (*zamyślony*)

I ja także... niezawodnie...

P. W A L K E R.

Już od tak dawna opuszczasz mię, okrutny!

G R A F E N

No, no nie mówmy o tem... panna mię potrzebujesz, więc nie gniewam się... (*n. s.*) ba właśnie też tu o mój gniew chodzi.

P. W A L K E R.

Aha, to pięknie, jesteś uprzejmy jak dawniej, i zdaje mi się że już zdrowsza.

GRAFEN. (*zamyślony*)

Jesteś cierpiąca, chora! (*n. s.*) biedny młodzieniec!..

P. W A L K E R.

Oh cierpię bardzo, mam spazmy, mdłości, wapory...

GRAFEN. (*nie słuchając*)

Nieszczęśliwa!

P. W A L K E R.

Co mówisz?

G R A F E N.

Ah... mdłości...

P. W A L K E R.

Sily mię opuszczają...

G R A F E N.

Więc usiądź... (*d. s.*) Jak tu zacząć, niechtu umrę...

P. W A L K E R.

I cóż doktorze?

G R A F E N.

A więc, moja zacna panno!... jednakże cera dosyć świeża... proszę o rękę!.. (*dotykając pulsu, n. s.*) Najgorza, że nie ma czasu do stracenia...

P. W A L K E R.

Bije gwałtownie, nieprawdaż?... o czém myślisz?...

G R A F E N.

Myślę... myślę, że na tym świecie trzeba mieć odwagę, cokolwiek filozofji... wszyscy potrzebujemy pobłażania... Panieństwo... jest rzecz bardzo ładna... ale kiedy uczujemy w głębi serca... oh... powiesz mi... ale, trafia się...

serce nie z żelaza... prócz tego rozmaite okoliczności...zdarzają się wypadki...

P. W A L K E R.

Nie rozumiem cię doktorze.

GRAFEN. (*n. s.*)

Wierzę, bo ja sam siebie nie rozumiem.

(*głośno*) Sypiasz dobrze?

P. W A L K E R.

Nie, bardzo źle... niespokojność...

G R A F E N.

Któż bez niej?.. (*n. s.*) biedna Zuzia...

P. W A L K E R.

A w dzień niczém zając się nie mogę... wszystko mię utrudza, miesza często, nie wiem co mówię...

GRAFEN. (*biorąc znowu za puls*)

Znam ja tę słabość... (*n. s.*) Co za błąd!..

P. W A L K E R. (*dostyszawszy, uważa go bacznie*)

Co mówisz?.. drzę cała!

GRAFEN. (*n. s. mocniej*)

Nierozwaga, miłość...

P. W A L K E R. (*wstaje*)

Doktorze! co powiedziałaś... mi....!

G R A F E N.

He? usłyszałaś pani? na honor tém gorzej!

A ponieważ nie posiadam sztuki zręcznego po-

stępowania, pójdę więc prosto do celu; nie ma sposobu cofnąć się. Tak jest, miłość!

P. W A L K E R.

Doktorze!!

G R A F E N.

Cóż panna chcesz?.. mamy serca, to każdemu przytrafić się może...

P. W A L K E R.,

Przestań, doktorze, przestań..! (*odchodząc na lewo*)

G R A F E N.

Ale...

P. W A L K E R. (*nie patrząc na niego*)

Ani słowa więcej, puść mię!.. (*Grafen postępuje kilka kroków*) Doktorze! (*zatrzymując się*) Ah Boże! miłość!.. błąd!.. (*wychodzi, zakrywając twarz rękoma*)

## S C E N A VII.

GRAFEN, JERZY, (potém) FRANUSIA, (później)  
PANNA WALKER.

GRAFEN. (*niewzruszony*)

Co to się ma znaczyć!

JERZY. (*otwierając drzwi na prawo*)

Hm! hm!



GRAFEN. (*postrzega Jerzego*)

Ah Jerzy, już z powrotem.

JERZY.

Nie oddalałem się, czekałem; no i cóż czy postąpiliśmy?..

GRAFEN.

Oh i bardzo.

JERZY.

Powiedziała ci?..

GRAFEN.

Nie rozumiem, co powiedziała.

JERZY.

Jako, nie wyjawiała ci myśli?

GRAFEN.

Albo ja wiem.

JERZY.

A więc pan nie chcesz nam dopomódz, mówić za nami? to nie pięknie, przyrzekłszy...

GRAFEN.

Idźże do licha!.. kiedy ja omal nie stracę głowy, ażeby zrozumieć cokolwiek; ten mi będzie jeszcze czynił wyrzuty.

JERZY.

Oh przebacz mi pan, ale bo widzisz, Zuzia jest tam nie spokojna...

GRAFEN.

No i cóż?

J E R Z Y.

Jak mamy postąpić?

G R A F E N.

Gdybyście mię byli zawsze o radę pytali tak jak teraz...

J E R Z Y.

Nie wspomniales pan nie ciotce?..

G R A F E N.

I owszem... niepodobna nawet więcej powiedzieć...

J E R Z Y.

A ona?..

G R A F E N.

Odeszła.

J E R Z Y.

W gniewie?

G R A F E N.

Przeciwnie, i jeżeli nie ma pomieszania... w jej wieku!

J E R Z Y.

Ah Boże!

FRANUSIA. (*przybiegając*)

Panie doktorze, panie doktorze!

G R A F E N.

Czego chcesz?

F R A N U S I A.

Ah, cóżeś pan uczynił z naszą panią?..

G R A F E N.

No!..

FRANUSIA,

Litość bierze patrzeć... przyszedłszy do pokoju, rzuciła się na sofę, wołając: Nieszczęśliwy Grafen, zabił mię!

GRAFEN.

Ja..! nawet nie myślałem... (*do Jerzego*) Jedno tylko słówko z twojego romansu, sądz o reszcie!..

FRANUSIA.

Oto bilecik, który ze łzami napisała...

GRAFEN.

Do mnie, daj.

JERZY.

Dowiemy się przecie o co idzie.

FRANUSIA.

Tak, przeczytaj pan, ciekawam wiedzieć... (*zbliża się do pana Grafen, który otwiera list*)

GRAFEN. (*spojrzawszy na list*)

Nieba!

JERZY.

Cóż to?

FRANUSIA.

Jest tam...

GRAFEN.

Proszę was, zostawcie mi chwilę spokojną. No! (*oddala się w głąb, d. s.*) To znów co in-

nego! (*czyta*) »Milczenie! idzie tu o moje ży-  
»cie!« Do licha nie żartujmy! »Ah mój dawny  
»przyjacielu, pozwól się jeszcze tak nazywać...«  
Dla czegożby nie? (*czyta*) »Byłeś zbyt okru-  
»tym, zatapiając bez przygotowania w moich  
»piersiach sztylet zabójczy...« Jaki? ja zato-  
piłem sztylet zabójczy! (*patrzy się na lewo i  
prawo*)

JERZY. (*półgłosem*)

A co, wiesz pan?

G R A F E N.

Nie! (*n. s., czytając dalej*) »Muszę z tobą  
»mówić, dowiesz się o wszystkiém; ale żądam  
»jednej rzeczy od ciebie, abyś nie patrzył na  
»mnie, nie zniosłabym twojego spojrzenia!  
»Zuzanna Walker.« (*stoi niewzruszony*) Nie  
patrzeć na nią!..

FRANUSIA. (*półgłosem*)

A co, wiesz pan?

G R A F E N.

Tak, tak.

J E R Z Y.

Doprawdy?

G R A F E N.

To jest, nie... to być nie może... ona, któ-

ra przed piętnasto laty miała sobie za ułżenie honoru żem ją w rękę pocałował, mężczyzna... miałaby... (*patrzac na list*) Ale tak jest... tu napisane... teraz o niej mowa...

JERZY. (*chcac wziac list*)

O kimże?..

G R A F E N.

Nieszczęśliwy! nie dotykaj się tego pisma!

F R A N U S I A.

Panna Walker.

G R A F E N.

Jaka postać posępna, zamyślona... Ah w jej wieku.. jeszcze nie wierzę... i choćby mi sama powiedziała.. nie wiem...

P. WALKER. (*wchodzi, nie widzac nikogo*)

JERZY. (*n. s.*)

Nic nie rozumiem.

F R A N U S I A. (*przysuwajac fotel*)

Panna pozwoli?

P. WALKER. (*z przestraczem*)

Ah!

G R A F E N.

Odejdźcie!

JERZY. (*odchodzac*)

Pamiętaj o nas... (*Jerzy i Franusia zadziwiewie-*

*ni wychodzą głębią, panna Walker nie patrząc na Grafena, pokazuje mu że drzwi w głębi otwarte, Grafen je zamyka, a ona zamyka drzwi z lewej)*

## SCENA VIII.

PANNA WALKER, GRAFEN.

GRAFEN. (*n. s.*)

To będzie piękna rozmowa. (*zbliża się na przód sceny, spogląda na pannę Walker, ta się odwraca*) Prawda!.. Bądźmy posłuszni, nie będę patrzył na nią. (*odwraca się*)

P. W A L K E R.

Doktorze, sprawiłeś mi wiele cierpienia.

GRAFEN. (*odwracając się*)

Przysięgam ci..

P. W A L K E R. (*odwraca się, spuszczaając oczy*)

Słusznie. Ale nie gniewam się na ciebie... jesteś niegrzecznym, nie twoja wina...

GRAFEN. (*nie odwracając się*)

Dziękuję..

P. W A L K E R.

Prócz tego zadziwiło cię to pewnie, niestety! i mnie również zadziwiło... uwierzysz gdy



mię wysłuchasz... Prawda, potrzebuję odwagi... ale mi jej nie zbraknie, wyznam ci wszystko. (*ociera łzy*)

GRAFEN. (*n s.*)

Biedna stara panna!

P. W A L K E R.

Wiesz o tem dobrze, że w głębi serca panowało uczucie wstrętu dla wszystkich mężczyzn, a szczególnie dla wojskowych... drżałam na samo zbliżenie się munduru, na sam widok wąsów przelękną spuszczałam oczy, a dym z sigara budził we mnie mdłości. Dla tego też kiedy w okolicy stanął pułk, i kiedy jednego z wojskowych przystano do mnie... chciałam opuścić moje mieszkanie... żartowano ze mnie, ty sam nawet... więc zostałam. Ukazał się Alexy... wiesz że się nazywał Alexy...

G R A F E N.

Pan Vandertrun.

P. W A L K E R.

Zrazu cierpieć go nie mogłam.

G R A F E N.

I ja toż samo.

P. W A L K E R.

Ale wkrótce jego otwartość, szczerłość, roz-

broiły mię, przyzwyczaiłam się zwolna do jego ubioru, wąsów, a nawet dym z sygara nie był mi nieprzyjemnym. Nie wspomnę ci nie o jego postaci, o jego sposobie obejścia, o rysach jego twarzy, powinny mię były zająć, mię, która aż dotąd widziałam tylko samych szpetnych.

G R A F E N.

Co? więc i ja...

P. W A L K É R.

Był tak przyjemny, uprzedzający, wesoły do pustoty!.. słuchałam z przyjemnością opowiadania jego niebezpieczeństw, chwwały nabytej.. Ah dla czegożeś mię wtenczas opuścił!..

G R A F E N.

A więc nie omyliłem się? *(odwraca się ku niej, ona zamilcza i odwraca się od niego)*  
Słusznie. *(odwraca się)*

P. W A L K É R.

Przypominam sobie, ciągle jego grzeczności; kiedy siedziałam przy robocie, a przy nim stała butelka tego likieru, co sama przyrzadzam, i który on pił z taką delikatnością. Pewnego wieczora byliśmy tylko oboje, i gdy dziesiąty raz opowiadał mi oblężenie, zasnęłam mo-

eno... cóż ci mam powiedzieć?.. Kiedym się przebudziła, mój pokój był w płomieniach, a Alexy... (*spuszczając oczy*) unosił mię na swoich rękach, z których zarumieniona i przelęta uwolniłam się dopiero w ogrodzie... (*ściskając rękę*) Doktorze, wiesz wszystko.

G R A F E N.

Jako! ośmielił się!.. i panna nie mu nie powiedziałaś?..

P, W A L K E R.

Czy zapomniałaś?..

G R A F E N.

Ześ spała, prawda, ale kiedy ja odważyłem się w rękę tylko pocałować... a on unosił ten drogi ciężar... on śmiał zakochać się..

P. W A L K E R.

I cóż chcesz, zakochał się na nieszczęście!

G R A F E N.

I panna nie ukarałaś takiego zuchwalstwa, nie wypędziłaś go?..

P. W A L K E R.

Za co, za błąd, o którym nie wiedziałam?

G R A F E N.

Eh...

P. W A L K E R.

I o którym nie wiedziałabym jeszcze, gdy-

byś ty mi go nie wyjawiał... Ale doktorze, milczenie, wieczna tajemnica. Powierzam ci mój honor, sławę i moją mi... ah nie mogę tego wymówić.. Ja i kochanek.. okropnie! Ah doktorze, to jest potwór... zaniecił okropny ogień w tém sercu... gdyby tu był przynajmniej.. gdyby powrócił..

G R A F E N.

On nie wróci... opuścił cię... niegodny!  
(*słychać w oddaleniu muzykę wojskową*)

P. WALKER. (*placząc*)

Odjechać, zostawić mię! ah czuję, że tego nie przeżyję!..

G R A F E N.

Nie umrzesz...

P. W A L K E R.

Umrę, umrę powiadam! (*muzyka coraz bliżej*)

## SCENA IX.

FRANUSIA, PANNA WALKER, GRAFEN,  
(potém) ZUZIA.

FRANUSIA. (*pukając do drzwi, w głębi*)  
Panno! panno!.. czy mogę wejść?..

P. W A L K E R.

Milczenie! Franusia! (*ociera łzy*)

G R A F E N.

Wejdz, wejdz.

F R A N U S I A.

Przyjechał!

P. W A L K E R.

Kto taki?

G R A F E N.

Któż przyjechał?

F R A N U S I A.

Ale on, on, kwatermistrz szwoleżerów.

P. W A L K E R.

Nieba!

F R A N U S I A.

Przyjaciel panny, pan Vandertrun.

GRAFEN i PANNA WALKER,

Wrócił?!

F R A N U S I A.

Idzie tu za mną.

P. W A L K E R.

Ah doktorze, słabo mi. (*Franusia podaje krzesło*)

G R A F E N.

Kochana przyjaciółko...

F R A N U S I A.

Panno, panno! (*rozcierając jej ręce*)

ZUZIA. (*wbiega*)

Moja ciotko... (*spostrzega Grafena i spuszcza oczy*)

G R A F E N.

Ah otoż druga!

## SCENA X.

FRANUSIA, GRAFEN, PANNA WALKER, VANDERTRUN, ZUZIA.

VANDERTRUN. (*za sceną*)

I cóż niema nikogo?

P. WALKER. (*idąc ku niemu*)

Ah!

VANDERTRUN. (*wchodzi i przyjmując w objęcia chwiejącą się pannę Walker*)

Ah to piękne powitanie!.. czy panna słaba?

P. WALKER. (*przychodząc do siebie*)

Nie, nie, mam się daleko lepiej. Byłam pewną że powróci.

V A N D E R T R U N.

Nie może być, wiedziałas panno, a ja nie o tém nie wiedziałem!.. przysięgam na honor; witaj doktorze!.. (*n. s.*) Widać że kruki już wróciły.

P. WALKER. (*spoglądając ukradkiem*)

Zawsze bardzo przyjemny!..

F R A N U S I A.

Ten dobry pan Vandertrun... jakże się cieszę że go widzę..



V A N D E R T R U N.

Na słowo, i ja się nie gniewam, pragnąłem was wszystkich uściskać.. Czy pozwolisz?..

F R A N U S I A.

Z całej duszy. *(zatrzymując go)* Oh panna!

VANDERTRUN. *(do panny Walker)*

Do stu granatów, gdybym śmiał zacząć od panny...

G R A F E N.

Oh ośmiel się!..(n. s.) będzie udawał jeszcze...*(Vandertrun chce uściskać pannę Walker, widząc jej wzruszenie zatrzymuje się i całuje ją w rękę)*

VANDERTRUN. *(idąc do Franusi)*

A teraz...

P. WALKER. *(stając między nimi)*

Czy sam powracasz?..

V A N D E R T R U N.

Tak sam...z całym pułkiem... Telegraf powiedział że nieprzyjaciel posuwa się naprzód, my chcieliśmy powiedzieć mu parę słów, a tym czasem na polu tak pusto i gładko jak na ręku... Zarciki sobie stroi pan telegraf..przyszedł rozkaz przeciwny i wróciliśmy do tego dobrego miasta

Liege, które wraz z mieszkańcami moi kole-  
dzy przesyłają do wszystkich djabłów! (*przy-  
pomniawszy sobie*) wyjąwszy damy!

Z U Z I A.

A, przecie!

VANDERTRUN. (*obracając się do Zuzi której  
niewidział*)

Hę? (*spostrzegłszy*) Ah!

P. WALKER. (*przechodząc przed Zuzią*)

Damy...myślałeś więc kiedy o nich?..

V A N D E R T R U N.

Zawsze, dla tego też czułem coś, co mię  
przyciągało ku tej stronie...i zbliżając się ser-  
ce moje biło allarm... ładna! do tysiąc katów.

P. WALKER. (*spuszczając oczy*)

Oh jak grzeczny.

VANDERTRUN. (*d. s.*)

Ona myśli że ja o niej mówię.

GRAFEN. (*zbliżając się do pana Vandertrun*)

Trzeba naprzód umieć zaspokoić powinność  
honoru.

V A N D E R T R U N.

Dobrześ powiedział doktorze! ale to się mię  
nie tycze; ja nikomu nie winienem nic; i szczę-  
ście, bo nie mam nic.

G R A F E N.

Pan mówisz?

V A N D E R T R U N.

Mówię, że pustki w kieszeni; dla tego przyszedłem tu, wierny stanowisku i moim przyjaciołom. Czy ci to przykro panno?..

P. W A L K E R.

Przeciwnie, oczekiwałam cię?

F R A N U S I A.

Panna ciągle chorowała od czasu oddalenia się pańskiego..

V A N D E R T R U N.

Bah... nie wydaje się jednak.. zawsze świeża... hm! hm..

G R A F E N. (*półglosem*)

Pochlebca!

V A N D E R T R U N.

Czego ten chce odemnie?

P. W A L K E R.

Miły nam twój powrót, i cały mój dom jest na twoje rozkazy, tak jak przed odjazdem.

V A N D E R T R U N.

I coś więcej jeszcze, bo oto panienka, której nie miałem szczęścia znać.

P. W A L K E R.

Moja siostrzenica..

V A N D E R T R U N.

Siostrzenica, wiesz ci panno.. Nro 1... zupełnie twój portret...

GRAFEN. *(cicho)*

Uwodziciel!

V A N D E R T R U N. *(n. s.)*

Czego ten doktor chce odemnie, ciągle mi włazi w drogę.

P. W A L K E R.

Ale zdajesz się być utrudzonym. Franusiu, każ przygotować... aby się pokrzepić...

V A N D E R T R U N.

To, to, tego się nie odmawia, a zwłaszcza jeżeli jest jeszcze ten sławny arak...

GRAFEN. *(n. s.)*

Nieszczęśliwy, na orzeźwienie ognia się napije.

P. W A L K E R.

A potem... *(spuszczając głos i przybliżając Vandertruna do siebie)* wrócisz do tego salonu, pan doktor czekać będzie na ciebie; musi koniecznie z tobą mówić, i to jak najprędzej.

GRAFEN. *(cicho)*

Jak można najprędzej.

V A N D E R T R U N.

Doktór, ale ja nie jestem chory.

P. WALKER. (z wzruszeniem)

Nie wszyscy tutaj powiedzieć mogą to samo. Idź, idź...

VANDERTRUN. (patrząc na wszystkich)

Ah! tutaj!.. cóż mi do tego?

FRANUSIA. (przy drzwiach na prawo)

Proszę pana, proszę.

G R A F E N.

Idź, idź! (zblizając się do niego) Gorszycielu!

V A N D E R T R U N.

Ah do kroćsto tysięcy!.. doktorze...

P. W A L K E R.

Panie Vandertrun.

V A N D E R T R U N.

Nie zważaj panna, chciałem mu grzeczność powiedzieć. (głośno) Jeżeli co rozumiem.. Zobaczymy.. pójdę się przywitać z butelką... (odchodzi z Franusią) Ty mi drogę pokażesz.

## SCENA XI.

ZUZIA, PANNA WALKER, GRAFEN-

GRAFEN. (n. s.)

Co za postępowanie!.. i powiedzieć, że ten człowiek...

-P. W A L K E R.

Pójdź Zuziu...

Z U Z I A.

Jestem, moja ciociu. (n. s.) Ah mój Boże; czy ona nie wie jeszcze o niczym?

P. WALKER. (z cicha do Grafena)

Przyjacielu będziesz z nim mówił, powiedz mu, że posiada to serce, które dotąd było niewzruszonem; i niech wie, że kochając go... przebaczam mu... jego miłość...

G R A F E N.

Zbytek dobroci.

P. W A L K E R.

Niech się dowie od ciebie, że moja ręka i mój majątek odtąd są jego własnością.

G R A F E N.

Bardzo sprawiedliwie, taki człowiek!..

P. W A L K E R.

Bądź spokojnym mój przyjacielu .. jest w nim wiele dobrego...

ZUZIA. (n. s.)

Czy oni o mnie mówią?..

G R A F E N.

Będzie to przysługa z mojej strony, ale wzajemnie i ja także mam prosić cię o podobną... (patrzac na Zuzię) i równie ważną. .



P. W A L K E R.

Później, później. Teraz najważniejsza widzieć się z nim; powrót jego ożywił we mnie nadzieję. Do widzenia. (*do Zuzi*) Pójdź... (*odchodzi*)

GRAFEN. (*cicho do Zuzi*)

Odważnie, już ją mam. Wszystko otrzymamy.

Z U Z I A.

Ah panie doktorze!.. (*odchodzi*)

## S C E N A XII.

GRAFEN, (później) VANDERTRUN.

GRAFEN. (*sam*)

Biedna Zuzia! czy można dziewczynie siedemnastoletniej wziąć za złe, że pokochała młodego chłopca, i to jeszcze nie kwatermistrza.. kiedy jej ciotka... No proszę! powstawała na mnie kiedy ją w rękę pocałowałem... ale prawda, wtenczas miała tylko lat 20. Jednak najprzykrzejsza powinność: że muszę ją ożenować w małżeństwo, takiemu nic dobrego.. ja!.. ah cóż czynić, trzeba połknąć tę pigułkę; piękny odwet za te, które przepisuję innym.

VANDERTRUN. (*wchodząc*)

Przedziwny, wyborny, prawdziwy Jamajka!

G R A F E N.

Pewny jestem że przynajmniej butelkę wy-  
ciągnął.

V A N D E R T R U N.

Ab to doktor. Jak się masz k roku! coś to  
chciał powiedzieć... z twoją miną tajemniczą.

G R A F E N.

Powinieneś być odgadnąć.

V A N D E R T R U N.

Wcale nie odgaduję szarad, to nie należy  
do mnie, to nie mój stan. W Pan co innego...  
doktor, zwykle tak uczony jak... aptekarz...

G R A F E N.

Nie jestem aptekarzem.

V A N D E R T R U N.

Tém lepiej dla ciebie, nie cierpię ich i do-  
ktorów to samo.

G R A F E N.

Bądź spokojny... jeżeli kiedy noga moja po-  
stanie w tym domu, kiedy będziesz jego panem..!

V A N D E R T R U N.

A ponieważ nie będę jego panem...

G R A F E N.

Wiem dobrze, że myślisz przeciwnie...

V A N D E R T R U N.

Ale nie...

G R A F E N.

Ale tak...

V A N D E R T R U N.

Ba! czyby stara umieściła mię w testamencie?

G R A F E N. (n. s.)

Otóż mamy, jeszcze ją starą nazywa. (*głośno*)

To będzie coś lepiej jak testament, albowiem ta stara, jak jest stara, nie była jednak dosyć starą, abyś pan nie poważył się... ah!

V A N D E R T R U N.

Doktorze, piłeś arak, jak ja uważam..

G R A F E N.

Tu nie idzie o żarty... wypadek jest ważny... stanowczy... kobieta śpiąca... zemdląta...

V A N D E R T R U N.

A ładna!.. to śmiesznie...

G R A F E N.

Śmiesznie, nie bardzo, a szczególnie patrzeć na rozpacz osoby, której serce... bo każdy ma serce...

V A N D E R T R U N.

Co ten mi tu gada usto tysięcy!

G R A F E N.

Nakoniec złe już się stało; a jeżeli jesteś uczciwym człowiekiem, zająwszy serce niewin-

nej panny... (*ściskając go za rękę*) bo posiadasz jej miłość.

V A N D E R T R U N.

Ale do tysiąc pięrunów, co ty pleciesz; kto z nas dwóch szalony, bo ja nie nie rozumiem.

G R A F E N.

Cicho; jesteś szczęśliwszym niż zasiugujesz; bo ja pewno bym się z tobą nie ożenił.

V A N D E R T R U N.

Ai ja z tobą, zaręczam ci.

G R A F E N.

Ale ona jest nazbyt dobra; nieszczęśliwa kocha ciebie!.. a ponieważ wszystko trzeba powiedzieć, chociaż mi to bardzo przykro, ona ofiaruje ci serce i rękę.

V A N D E R T R U N.

Czy ty mię bierzesz za chorego, żeś mi tyle głupstw nabajał...Kto ona?..

G R A F E N.

Ah ona!..panna Walker...pani tego domu...

V A N D E R T R U N.

Niepodobna! wpadłem jej w oczko, kwatremistrz wkwatrował się do serca... ma gust stara, szkoda że ja nie mam takiego samego gustu.

G R A F E N.

Teraz chwila zadosyc uczynienia...zaślubiając...

V A N D E R T R U N.

Zaślubić! co za galimatjas!..Naprzód, ja się nigdy nie żenię, to wcale nie jest w moim charakterze...ja tylko przejeżdżając tędy...

G R A F E N.

A więc odrzucasz jej rękę i majątek?

V A N D E R T R U N.

He?..jej majątek?

G R A F E N.

Daje ci 20,000 liwrów rocznego dochodu...

V A N D E R T R U N.

Chwilę doktorze, 20,000 liwrów rocznego dochodu! Ah to djabelnie odmładza ten pól wiek...i mówisz że mię kocha...że mię uwielbia...i że 20,000 liwrów dochodu, będą należeć do mnie wraz z jej domem?

G R A F E N.

Tak jest od piwnicy aż do stodoły...

V A N D E R T R U N.

I ja będę panem, będę mógł rozkazywać, zapraszać przyjaciół! będziemy mogli hulać...przyjmuję doktorze, przyjmuję, biorę wszystko, no ożeń mię czem prędzej.

G R A F E N.

Jakto, a więc dla hulanki zezwalasz na połączenie się..?

V A N D E R T R U N.

Ah..gdzie tam...fel..ja kocham ją...kocham tę cnotliwą starą pannę, tak jak ciebie doktorze; (n. s.) a jak się ożenię, zaraz ci drzwi pokażę.

G R A F E N.

A więc dobrze, oświadczę jej twoją odpowiedź...

VANDERTRUN. (*odprowadzając go*)

Dodaj że będę zawsze jej klejnotem, nieprawdaż, bardzo pochlebnie.

G R A F E N.

Sliczny mi klejnot! (*wychodzi*)

### SCENA XIII.

VANDERTRUN, (później) FRANUSIA, SŁUŻĄCY.

VANDERTRUN. (*sam*)

Sliczny, klejnot! powiedział, pewno że piękny, nie jednato powiedziała; jestem tedy panem; jestem bogatym, szczęśliwym, teraz dopiero będę przepuszczał dukaciki starej żonki.

SPIEW NRO 5.

Nie ch żyje ślub,

Chociaż ten stan



Ma tyle zmian,  
Ze rośnie czub  
To jednak rzecz niepojęta,  
Bo oblegana forteca,  
W uporze zawsze zacięta,  
Rzadko zdobywcę podnieca.  
A mnie dziś po tylu stratach,  
Los Krezusa niesie dary;  
Zapomnę o stariej latach,  
Przeliczając jej talary...  
Niech żyje ślub.. (j. w.)  
Gdym kawalerskie wiódł boje,  
Mężów byłem przyjacielem,  
A niosąc im przyjaźń moją,  
Miłość żonek była celem.  
Dziś wstępując w mężów grono.  
Nikt odwetu mi nie spłaci;  
Bo z taką półwieczną żoną,  
Každy na romansie straci.  
Niech żyje ślub.. (j. w. służący wcho-  
dzą)

FRANUSIA,  
Ah mój Boże! cóż to za hałas?

V A N D E R T R U N.

To ja, moi przyjaciele. .. (*do nich*) Jak się masz ty...no, jak tam idzie kuchnia?...a ty, jak prowadzisz moją piwnicę...bo nie wiecie...to moja piwnica...jestem waszym panem łotry, (*do Franusi*) ale to się ciebie nie tycze, jestem i będę zawsze twoim przywiązanym sługą.

F R A N U S I A.

Pan jesteś naszym panem?

V A N D E R T R U N.

Niezawodnie, więc baczność, na komendę! słuchaj ty w szlafmocy Nr. 1, sporządzisz wielki objad...pamiętaj odznaczyć się, bo to dla smakoszków którzy się na tém znają., a ty Nr. 2, wyprowadź wino Reńskie, Bordeaux, Szampan...a nadewszystko wina stare na toasty za zdrowie mojej żony.

F R A N U S I A.

Żony?

V A N D E R T R U N. (*pisząc*)

Festyn wspaniały...Słuchaj, ty uczynisz mi przyjemność oddasz ten bilet podług adresu, zaproszenie wszystkich moich kolegów, spoję

ich za zdrowie mojej żony, marsz! (*wszyscy stoją niewzruszenie, Franusia się śmieje*) Cóż, nie idziecie, stoicie jak głupcy, a ty się śmiejesz...

FRANUSIA.

Czy pan myślisz, że wypełnią jego rozkazy, panna gniewałaby się.

VANDERTRUN.

Powtarzam ci raz jeszcze, wasza panna jest moją żoną. (*śmieją się*) Ale kiedy wam mówię!.. (*śmieją się mocniej*) Ej, strzeżcie się, jestem dobrym panem, ale pierwszemu nieposłusznemu karku nadkręczę!.. (*przestrasz wszystkich*)

## SCENA XIV.

CIŻ I PANNA WALKER.

P. WALKER.

Co się tu stało?

VANDERTRUN.

Ah w porę przybywasz; chciałem się rozgniewać...

P. WALKER.

Ty mój przyjacielu... i dla czego?

VANDERTRUN.

Bo moja przyjaciółko...bo...ci nie dobrego

nie chcą mię słuchać; śmieją mi się w oczy, jak gdybym był głupcem.

FRANUSIA.

To co nam ten pan powiedział, jest prawdziwie godnym śmiechu, powiedział: że panna jesteś jego żoną, że on jest panem, że...

VANDERTRUN. (*w kłopotcie*)

Oh.. powiedziałem... tak się mówi, bo...

P. WALKER.

Dobrześ uczynił... odejdźcie, i bądźcie posłuszni panu Vandertrun, chcę tego.

FRANUSIA.

Jako ten obiad... ten list?..

P. WALKER.

Czyńcie co wam rozkazał... i niech odtąd wszyscy go tak szanują jak mnie samą.

VANDERTRUN. (*dając list służącemu*)

No, ruszajcie żywo niegodne łotry, bo jak!.. (*wszyscy odchodzą zadziwieni*)

FRANUSIA. (*smutna*)

Czy być może?.. jego żona!.. szkoda!.. ja myślałam... ha!..

VANDERTRUN.

Co?..

FRANUSIA. (*odchodząc*)

Eh, nie!

## SCENA XV.

VANDERTRUN, PANNA WALKER.

P. WALKER. (*n. s.*)

Ah mój Boże! jesteśmy sami!.. doznaję wzruszenia...

VANDERTRUN. (*η. s.*)

Do diabła... sam na sam!.. właśnie pora być uprzejmym. (*zbliża się do niej, nie wie co mówić i kaszle*) Hm, hm. (*po chwili*) Panno.. zapewne... że... ehę... właśnie to chciałem powiedzieć...

P. W A L K E R.

Panie...

V A N D E R T R U N.

Przebacz mi... albowiem są okoliczności... w których czucie... nie można powiedzieć wszystkiego co się czuje... na koniec chciałoby się... ale trudno.

P. W A L K E R.

Wiem o tém; zdarzają się w życiu wypadki tak dziwne, które powinnyby może gniew nasz obudzać... a jednakże przebaczamy!.. (*podaje mu rękę*)

V A N D E R T R U N.

Ol. ta ręka.. (*porywa*) którą ja... (*spojrza-  
wszy jęj w twarz*) Siwa, i ręka już usycha...

P. W A L K E R.

Co mówisz?..

V A N D E R T R U N.

Ze radość, będąc tak blisko pięknej, chcia-  
łem mówić dobrej..

P. W A L K E R.

Oh tak, chcę nią być zawsze.. jak ty nim  
będziesz dla mnie; ręczy mi zobowiązanie two-  
je dane doktorowi.. to zobowiązanie się jest  
świętęm mój kochany Alexy.

V A N D E R T R U N.

Niewątpliwie, moja... jakże imię chrzestne?..

P. W A L K E R.

Zuzanna!..

V A N D E R T R U N.

Zuzanna... szczególnie mam szczęście do Zu-  
zanny, już kilka...

P. W A L K E R.

Co? co?

V A N D E R T R U N.

Wszystko co przyrzekłem doktorowi, gotów  
jestem dotrzymać...

P. W A L K E R.

Oh mój Alexy!



V A N D E R T R U N.

Tak moja Zuzanno. (n. s.) Nigdy się nie będę mógł do niej przyzwyczać.

P. W A L K E R.

Wiedziałam że powrócisz, że cię znowu zobaczę, że przyjdiesz nagrodzić moje cierpienia...

V A N D E R T R U N.

Wiedziałaś?..

P. W A L K E R.

A jednakże nie śmiem oczu wznieść na ciebie... drzę; rumienię się, a jednakże ty tylko jesteś występny...

V A N D E R T R U N.

Ja?..

SPIEW NR 6.

Widać że zgubne pociski,

W sercu tkwią na znak zwycięstwa!

P. W A L K E R.

Chociaż szczęścia promień blizki,

A jednak potrzeba męstwa.

V A N D E R T R U N.

Ślub jest śmiałości oznaką,

P. W A L K E R.

Nie mam sił zataić trwogę,

V A N D E R T R U N.

Na honor kampanją taką  
Za dwie śmiało liczyć mogę.

P. W A L K E R.

Powiedzże mi Alexy, kiedy ci doktor wy-  
jawił wszystko, jakie wrażenie na tobie uczy-  
niły...

V A N D E R T R U N.

20,000 liwrów!.. Twoja miłość, twoje zamia-  
ny, oh byłem zbyt szczęśliwy...

P. W A L K E R.

Już się nigdy nie rozłączemy!

V A N D E R T R U N.

Nigdy... tylko za zmianą garnizonu.

P. W A L K E R.

Nie, musisz wziąć dymisję.

V A N D E R T R U N.

Dymisję!.. pozwól.

P. W A L K E R.

Gdybyś się oddalił, cóżby się ze mną sta-  
ło! któżby zarządzał moim majątkiem.. to do  
ciebie należy.

V A N D E R T R U N.

Tak, tak prawda, zostanę, aby zarządzać  
twoim majątkiem.

P. W A L K E R.

Naszyn.

V A N D E R T R U N.

Tak jest naszym. (*n. s.*) Nie tak strasznie wygląda z profilu.

P. W A L K E R.

Mam posiadłości które potrzebują pana... odbierać pieniądze...nie będę się mogła tem zajmować, tylko kochać cię. (*biorąc go za rękę, zarumieniona*) A potem inne staranie... daleko słodsze...zgadujesz mię?... (*spuszcza oczy*)

V A N D E R T R U N. (*zadziwiony*)

Zgaduję...(*n. s.*) Nic nie rozumiem.

P. W A L K E R.

To staranie, tę troskliwość podzielać będziesz ze mną, aby mi dopomóż wychować go i dać mu edukacją godną ciebie i mnie...

V A N D E R T R U N. (*starając się zrozumieć*)

He?

P. W A L K E R. (*głosem drżącym i z oczyma spuszczoneymi*) Chcę żebyś pysznił się twoim synem...

V A N D E R T R U N.

Co? (*odwraca się i tłumiąc śmiech*) Oh!

P. W A L K E R.

Odwracasz się odemnie?.. nie nie odpowiadasz?..

V A N D E R T R U N.

Tak, tak, ja...ja...ja go wychowam, będzie tęgi chłopak...nauczę go kłać, pić, fajkę palić, do ładnych dziewcząt...

P. W A L K E R.

Co!

V A N D E R T R U N.

Ah! bądź spokojna, nie ma niebezpieczeństwa moja stara...

P. W A L K E R.

O nieba!..

V A N D E R T R U N.

Przebacz! wyrażenie przyjacielskie...

P. W A L K E R.

Ah! jesteś pozbawiony delikatności, czucia, twoje serce nie rozumie mojego, i w czasie naszej rozmowy nie okazałeś najmniejszej oznaki tklivości.

V A N D E R T R U N.

Przez uszanowanie, z obawy aby ci się nie narazić. Ah gdybym śmiał...

SPIEW, NRO 7..

P. W A L K E R.

Jeźlibyś mię zdradzić miał,

V A N D E R T R U N.  
U mnie stałość jeden cel,

P. W A L K E R.  
Gdybys się w wierności chwiał,  
Ze mną tylko miłość dziel...

Ah!

V A N D E R T R U N.  
Tylko śmiało.

Wyjdę z chwałą..

-P. W A L K E R.  
A na dowód...

V A N D E R T R U N.  
Jaki chcesz?..

P. W A L K E R. (*podając mu rękę*)  
Pocałuj mię.

V A N D E R T R U N. (*d. s.*)  
Oto sęk.

P. W A L K E R.  
Wiem że się zbliżyć nie śmiesz,

V A N D E R T R U N.  
Widząc tak powabny wdzięk.

P. W A L K E R.  
Ah!

V A N D E R T R U N.  
Ah! Marsz, marsz śmiało,  
Wyjdę z chwałą!

## SCENA XVI.

CIŻ i ZUZIA.

ZUZIA. (*wbiega w chwili kiedy Vandertrun całuje rękę panny Walker*)

Panie kwatermistrzu!..oh Boże!..

VANDERTRUN. (*n. s.*)

Zdemontowała w samym wystrzale! Cóż tam nowego Zuziu?

Z U Z I A.

Koledzy pana...proszą go...

V A N D E R T R U N.

Ah przyszli na obiad, brawo!

P. W A L K E R.

Jakto przyszli na obiad?

V A N D E R T R U N.

Zaprosiłem ich...(*tkliwie*) aby im przedstawić moją żonę!..Nie dali czekać na siebie, jest ich dwudziestu pięciu.

P. W A L K E R.

O Nieba..cały pułk prawie...w moim domu...

V A N D E R T R U N.

To jest w naszym...już ja biorę na siebie...

P. W A L K E R.

Ale obiad!..



V A N D E R T R U N.

Nie gotów? czekając go dam im co przetrącić przed obiadem, kilka butelek...

P. W A L K E R.

Ale...

V A N D E R T R U N.

Bądź spokojna...wiem gdzie Bordeaux..adieu moja śliczna siostrzenico!..i gdzie Szampan także, wiem...wiem. (*wychodzi na prawo*)

## S C E N A XVII.

ZUZIA, PANNA WALKER.

P. WALKER. (*idąc za nim*)

Alexy...odchodzi...co za głowa!...ale ma dobre serce.

Z U Z I A.

On powiedział moja siostrzenico!..

P. W A L K E R.

Cicho, tak moja biedna Zuziu...kocha mię...prosił o moją rękę...i ja, ja zawsze tak przeciwnie małżeństwu, przekonywam się żem błędziła!

Z U Z I A.

To prawda kochana ciociu!

P. W A L K E R.

Czy tak? więc myśleć o związkach ślubnych

W moim wieku, nie zdaje ci się niedorzecznością?

Z U Z I A.

Przeciwnie, przyjemnie jest mieć przyjaciela...rodzinę...

P. W A L K E R.

Rodzinę! jak ty rozumnie mówisz! Uścikaj mię, (*ściska ją*) nie wiedziałam że jesteś tak rozsądną! A więc dobrze, dobrze... (*trzępiotawato*) Umiesz ty robić czapeczki dzieciinne?.. Ah! co mówię! (*zawstydzona*)

Z U Z I U.

Moja ciociu!..(*śmiech za sceną*)

## SCENA XVIII.

ZUZIA, JERZY, GRAFEN, PANNA WALKER,  
(potem) FRANUSIA, SŁUŻĄCY.

GRAFEN. (*w kulisach*)

Tak, śmieJCie się śmieJCie, niegodziwi!..

P. W A L K E R.

Cóż to jest? Grafen, na kogóż się tak gniewasz?

G R A F E N.

Na kogo?..na tych którzy mię obrażają... którzy obrażają nas wszystkich...jest ich tam 20 a tak piją szampana...

P. W A L K E R.

Szczęściem że p. Vandertrun jest z niemi,  
on ich będzie wstrzymywał...

G R A F E N.

Ale gdzie tam, właśnie on ich wprawia w ta-  
ki sztos...wysadza korki.

J E R Z Y.

Chciał abyśmy pili za zdrowie starej.

P. W A L K E R.

Mości panie!..

GRAFEN. (*ciągąc go za rękę*)

Będziesz ty milczał?

ZUZIA. (*tak samo*)

Niezręczny!

JERZY. (*patrzac na nich zdziwiony*)

Niewiem kto...(n. s. zgadując) Ah!

GRAFEN. (*do panny Walker*)

Uczyniłem zadosyc jej zyczeniom, mówiłem  
z nim, reszta do pani należy. Ale przyrzekłaś  
także ze swojej strony coś dla mnie uczynić,  
proszę cię więc zezwól na połączenie Zuzi i  
Jerzego:

JERZY i ZUZIA.

Oh Boże!

G R A F E N.

Kochają się, potrzebują twojego zezwolenia...  
posagu...który im dasz...

P. W A L K E R.

Cokolwiek za prędko...

G R A F E N.

Prosto do celu...nam pilno...my młodzi.

P. W A L K E R.

Jeżeli się kochają, nie będę się sprzeciwiać  
ich połączeniu, wiem aż nadto...Ale muszę czu-  
wać nad jej szczęściem, powiedz mi jakiż jest  
twój stan i majątek?

J E R Z Y.

Co do stanu, mam nadzieję że go mieć będę,  
co do majątku...

G R A F E N.

Widziałeś się z twoim stryjem plebanem?

J E R Z Y.

Idę do niego.

P. W A L K E R.

Cóż uczyni dla ciebie?

J E R Z Y.

Da nam ślub darmo.

G R A F E N.

Nie poniesie uszczerbku; ale ty panno Wal-  
ker jesteś bogatą, i zapewne dasz Zuzi posag.

P. W A L K E R.

To już odemnie samej nie zawisło.

G R A F E N.

Od twojego męża, pomówię z nim natychmiast...*(słysząc śpiewanie)* A co słyszycie? on nie melancholik. *(dzwoni, do Franusi która weszła w jednymże czasie ze służącym)* Idź donieś p. Vandertrun że go tu czekam, że chcę z nim mówić. *(służący wychodzi)*

F R A N U S I A.

Niech Józef idzie, mam iść po to żeby p. Vandertrun znowu mię pocałował.

-P. W A L K E R.

Co mówisz?..on by sobie nigdy nie pozwolił.

F R A N U S I A.

Właśnie, on by sobie nie pozwolił...to mu się przytrafia za każdą butelką którą przyniosę, a już piją piętnastą.

- P. W A L K E R.

O Nieba!

F R A N U S I A.

Oh tu służba staje się bardzo uciążliwą ..nie zostanę...ma żonę.

G R A F E N.

Hę!

P. W A L K E R.

Co za zgroza!

## SCENA XIX.

GRAFEN, VANDERTRUN, (*nieco podchmielony, wchodzi z kielichem Szampana*) PANNA WALKER, JERZY, ZUZIA, FRANUSIA.

V A N D E R T R U N.

Czego chcą odemnie? Ah doktor; za zdrowie twóich pacjentów! (*pije*)

G R A F E N.

Jak znieść...

V A N D E R T R U N.

Damy!.. (*do panny Walker*) Ah mamuniu, kosztowaliśmy Szampana, przewyborny!.. (*posyłając jej pocałowanie*) skarb prawdziwy!.. dla tego (*zbliża się do niej*) pozwól...

P. W A L K E R.

Panie! Mości panie! nie zbliżaj się do mnie!.. co za postępowanie!..

V A N D E R T R U N.

Co jej jest? moje postępowanie!..ona co jest tak łagodna (*postrzegając Zuzię*) jak moja siostrzenica; to anioł, ta moja siostrzenica, a ja uwielbiam aniołów!..(*zbliża się do Zuzi*)

ZUZIA. (*cofając się*)

Ah mój Boże, on mię chce uściskać...



JERZY. (*stając przed Zuzią*)

On!

V A N D E R T R U N.

A to co za jeden, pół obrotu w prawo.

G R A F E N.

Panie!..

V A N D E R T R U N.

Smieszni ludzie...kazali mię zawołać, a przyjmują mię.. jak nieprzyjacielską placówkę.... dobra noc...idę pić Szampana...

G R A F E N.

Nie, chcę z panem pomówić..

V A N D E R T R U N.

Jeszcze, jak uważam ty jesteś mówcą całego towarzystwa...czy on od ciebie moje serce mówić będzie? (*zbliża się do panny Walker*)

P. W A L K E R.

Proszę mi dać pokój, jego postępowanie jest niegodne. (*wychodzi na lewo; Vandertrun śmiejąc się przesyła jej całunki od ust*)

ZUZIA. (*do Grafena*)

Nie gniewaj go bardzo..

V A N D E R T R U N. (*odwracając się*)

He? ah to śliczna Zuzia...przedziwnie...

JERZY. (*zastaniając Zuzię*)

Sliczna ale nie dla niego, adieu panie woj-  
skowy! (*wychodzą*)

V A N D E R T R U N.

Adieu, niedołęgo. (*oddaje kieliszek Franu-  
si i chce ją uścisnąć*) Franusiu, przecież ty...

F R A N U S I A.

Eh dosyć już tego... póki nie wiele było  
wina w głowie, to inna rzecz.

V A N D E R T R U N.

A jak wiele wina w głowie to inna rzecz,  
prawda? (*Franusia odchodzi*)

## S C E N A XX.

GRAFEN, VANDERTRUN, PANNA WALKER.  
(*uchyla drzwi gabinetu i słucha następnej roz-  
mowy*)

V A N D E R T R U N.

'Teraz mój cherubinku...mój amorku...

G R A F E N.

No, np. czy ja podobny do amorka!..

V A N D E R T R U N.

Nie, do dziadka wszystkich amorków. No,  
ale krótko, o cóż idzie? śpiesz się bo czekają  
na mnie przyjaciele i Szampan.

G R A F E N.

Bądź pan spokojny, idzie tu o młodą Zuzię.

V A N D E R T R U N.

Bah! czegoż ona chce? nie jej mie odmówię, przeciwnie, jestem dobra dusza i tkliwy na głos piękności.

G R A F E N.

Odtąd zostajesz jej stryjem.. głową rodziny....

V A N D E R T R U N. (*chwiejąc się*)

Tak głową... i ręczę że cała rodzina pójdzie prosto jeżeli będzie szła za głową.

G R A F E N.

A ponieważ Zuzia jest w wieku pójścia za mąż...

V A N D E R T R U N.

Rozumiem szukają dla niej męża... a więc macie, jestem, zabieram ją z bronią, z bagażami.

G R A F E N.

Jakto chcesz?. a jej ciotka!...

V A N D E R T R U N.

Stara?. a prawda, słusznie; nie mogę zaślubić dwóch pokoleń.. ale wiesz co..? Va!... odstępuję ci ciotki, bierz ją; wezmę siostrzenicę.. zgoda daj rękę.. i unikaj mię mój stryju..

G R A F E N.

Ale nie, tu nie idzie o mnie, ale młode dziewczę, kocha już kogoś i chce go zaślubić.

V A N D E R T R U N.

Czy tak? i któż jest ten popisowy?

G R A F E N.

Siostrzeniec plebana z Liège.

V A N D E R T R U N.

Ah, to się nie przyda, ja co innego, uczynię ją szczęśliwą.

G R A F E N.

Ty! kiedy panna Walker oddaje ci serce, rękę i majątek.

V A N D E R T R U N.

Jeżeli mię kocha, nie moja вина... ale sam pomyśl: ona stara, zwiędła.. a ja, patrz... (*panna Walker zamyka drzwi*)

G R A F E N.

Krótko mówiąc, Zuzia chce iść za mąż, trzeba jej twojego zezwolenia, posagu... pięknego posagu..

V A N D E R T R U N.

Wszystko co tylko będzie chciała... jestem dobra dusza, niech mi tylko piwnicę zostawią, Po mnie koniec świata.

G R A F E N.

A twoje dzieci?

V A N D E R T R U N.

Co mówisz?.. (*śmiejąc się*) Ah, ah, i on także...

G R A F E N.

Słuchaj, wiem wszystko... to opowiadanie... wieczór... ten sen... pożar, wyznałeś... ona mi powiedziała.

V A N D E R T R U N.

To co powiedziała, nie ma sensu, i ty także... ah rozumiem... piłeś doktorze... i ja pić będę... czekając aż moje dzieci... (*śmieje się*) Ah! ha! ha.

G R A F E N.

Ale posłuchajże... posag Zuzi...

V A N D E R T R U N.

Niech weźmie pieniądze, złoto, dom... i moją żonę... kto chce niech weźmie moją żonę i moje... ah, ah...

G R A F E N.

Ale... (*chce go zatrzymać*)

V A N D E R T R U N.

Eh puszczaj mię! (*śmieje się*) ah! ah; jeżeli ci się podoba, to się ożeń z panną Walker... będzie z was prześliczna para starych turkawek, dopiero sobie będziecie gruchać... (*wychodzi na prawo*)

## SCENA XXI.

PAŃNA WALKER, GRAFEN, (później) JERZY  
i ZUZIA.

GRAFEN.

Co on mówił, ten?..

P. WALKER. (*wychodząc z gabinetu*)  
A ja myślałam że mię kocha!

GRAFEN.

Ah moja panno Walker, gdybyś wiedziała...

P. WALKER.

Słyszałam wszystko!

GRAFEN.

Co on mi mówił..?

P. WALKER. (*wskazując na prawo*)

Byłam tam!.. (*biorąc go za rękę*) Ah doktorze! to jest potwór! czuję że byłabym z nim najnieszczęśliwszą... ja, tak czuła, tak tkliwa... zabilby mię.

GRAFEN.

Widać że nie ciebie kocha, tylko twoje twoje pieniądze, twoją piwnicę...

P. WALKER.

Dosyć, przestań.

GRAFEN.

I nakoniec, bez uszanowania, zaprzecza...



P. W A L K E R.

Ah czemuż to nie jest prawdą!

G R A F E N.

Ty wiesz najlepiej...

P. W A L K E R.

Bezwątpienia, ponieważ mi powiedziałeś!..

G R A F E N.

Jako... ty raczej wyznałaś...

P. W A L K E R.

Ja, doktorze!.. ja!.. czyliżbym kiedy pomyślała o tem... gdyby nie ten nieszczęsny wyraz...

G R A F E N.

Co mówisz?.. wymknął mi się wyraz..?

P. W A L K E R.

Tak jest... kiedy dotykając się mojego pulsu.. powiedziałeś... błąd... miłość...

G R A F E N.

I z tego wniosłaś?

P. W A L K E R.

Czyliż to nie dosyć?..

G R A F E N.

Ha!.. dowiedz się, że ja nie o tobie mówię...

P. W A L K E R.

Czy podobna? O kimże?

G R A F E N.

O twojej siostrzenicy i o Jerzym. (*Zuzia i*

*Jerzy wchodzi nie będąc widziani od Grafa..  
na i panny Walker)*

P. W A L K E R.

Zuzia... ah umieram... zemdleję!..

GRAFEN. *(wspierając ją)*

Panno Walker! *(Zuzia przysuwa krzesło)*

P. W A L K E R.

Ale z radości... jestem tak szczęśliwą... ah  
mój przyjacielu!.. Więc on prawdę powiedział.  
*(postrzegając Zuzię)* Nieba!.. Wpanna ośmielasz  
się stanąć przedemną... *(Jerzy cofa się w głąb)*

Z U Z I A.

Przebacz!

GRAFEN. *(z cicha)*

Pobłażania, dajmy na to, żeby też ona słu-  
chała opowiadania, żeby pokój był w płomie-  
niach!

P. W A L K E R.

Milczenie!.. A więc dobrze, pozwalam na  
wszystko...

Z U Z I A.

Ah ciociu!

JERZY *(przybiegając)*

Ach najdroższa ciociu! *(staje przy Zuzi po  
lewěj)*

SCENA XXII. i Ostatnia.

CIŻ VANDERTRUN I FRANUSIA.  
FRANUSIA.

Proszę Panny już dano obiad. Ci panowie się niecierpliwią, 10 siedzi przy stole, a 8 leży pod stołem...

VANDERTRUN. (z serwetą w rękę)

A cóż, nie idziecie?..notarjusz właśnie przybył...

P. WALKER.

Notarjusz, tem lepiej..(półgłosem do Grafena) Ah mój Boże! jakże mu powiedzieć nie osmielę się nigdy!..

GRAFEN. (cicho)

Zostaw to mnie.

VANDERTRUN.

Hę? co wy tam szepczecie oboje?

GRAFEN.

Panna Walker właśnie mówiła, że bardzo żałuje iż nie może podpisać twojego kontraktu ślubnego z jej siostrzenicą, która ci się tak podoba...

VANDERTRUN.

Bo też siostrzenica, w samej rzeczy bardzo

ładna (*Jerzy staje pomiędzy Zuzią i nim*) ale ponieważ ciotka...

G R A F E N.

Której chciałeś zaślubić majątek, a ona cały oddaje swojej siostrzenicy.

V A N D E R T R U N.

Co...temu młodzikowi...piwnicę...Szampana, 20,000 liwrów dochodu?

JERZY. (*do Zuzi*)

Ah, to go przetrzeźwiło.

G R A F E N.

Tak jest! a tobie rękę i serce.

V A N D E R T R U N.

Aj! aj!

P. W A L K E R.

Bynajmniej!

V A N D E R T R U N.

Odmawia! ..tęm lepiej, oddycham. Niech mię pioruny...bylibyśmy wszyscy wielkie głupstwo zrobili...lepiej zostań panną jak jesteś, a ja kawalerem jak jestem.

FRANUSIA. (*która jest tuż przy nim*)

To pewno!

V A N D E R T R U N.

Co? he! (*patrzy na nią z uśmiechem, ona spuszcza oczy*) śliczne dziewczę!

GRAFEN. (*do panny Walker*)

Prawda...a co do familji, masz ją i bez męża to sto na sto procentu.

WODEWILE. NRO 8.

G R A F E N.

Mile są żon obowiązki,

Gdy w wieku różnica mała;

Ale smutne często związki,

Kiedy panna przestarzała.

J E R Z Y.

Luba w każdym miłość stanie,

Lecz żeby powaby miała,

Każdy potwierdzi to zdanie:

Niech nie będzie przestarzała.

Z U Z I A.

Spieszyć się z męża wyborem,

To nauka panien cała;

Bo smutny wiek idzie torem:

Kiedy panna przestarzała.

F R A N U S I A.

Myślę i myślę w tej dobie,

Smutnaby kolej czekała,

Gdyby przyszło wspomnieć sobie:

Ah ja panna przestarzała!

V A N D E R T R U N.

Za największe nasze grzechy,  
Mogę to powiedzieć śmiało,  
Chcąc ukarać bez pociechy,  
Zenić z panną przestarzałą!

P. W A L K E R.

Gdy każdy obwinia łaje,  
Że serce zwiść się nie dało,  
( *do Publiczności* )

Tutaj nadzieja zostaje,  
( *z westchnieniem* )

Wy pocieszcie podstarzałą.

K O N I E C.

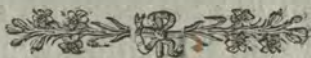


JEDNA  
ZA DRUGĄ.

K O M E D J A  
W T R Z E C H A K T A C H.

*z Niemieckiego*

T Ł U M A C Z O N A.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ.  
NA TEATRZE ROZMAITOŚCI.

*dnia 26 Września 1833 r.*

## O S O B Y.

|                                      |                         |
|--------------------------------------|-------------------------|
| PAN SPELT, dziedzic dóbr,            | JP. <i>Szymanowski.</i> |
| HELENA, jego córka,                  | JPa. <i>Rostkowska.</i> |
| CECYLJA, jej przyjaciółka,           | JPa. <i>Werowska.</i>   |
| EDWARD BORN, narzeczony<br>Heleny,   | JP. <i>Jasiński.</i>    |
| FRYDERYK ALBERG, kochanek<br>Heleny. | JP. <i>Smiałkowski.</i> |
| KAROL MOLL, kochanek<br>Cecylji,     | JP. <i>Giżewski.</i>    |
| WÓJT,                                | JP. <i>Moszyński.</i>   |
| BAKAŁARZ,                            | JP. <i>Wróblewski.</i>  |
| Wieśniacy.                           |                         |
| Muzykanci.                           |                         |

*(Rzecz dzieje się w dobrach pana Spelt o  
kilka mil od stolicy)*

---

# JEDNA ZA DRUGĄ.

---

## A K T I.

*(Teatr wystawia część ogrodu Angielskiego, po prawej stronie na przodzie kłoby kwiatów, po lewej mur, który przegradza ogród od lasu, w murze drzwi prowadzące na gościniec.)*

### SCENA I.

HELENA, CECYLJA.

CECYLJA.

Dla czegoż tak spieszenie?.. Cóż ci to jest?.. dawniej można cię było o ósmej godzinie zastać jeszcze śpiącą, a dziś uprzedziłaś słońce.

H E L E N A.

Pogoda tak piękna, powietrze ranne tak o-  
rzeźwiające.

C E C Y L J A.

Kiedy na mnie zawołałaś, spałam w najle-  
psze,

H E L E N A.

Jakżeś szczęśliwą Cecyljo!.. ja całą noc oczu  
zamknąć nie mogłam.

C E C Y L J A.

Bardzo temu wierzę. Wczoraj przybył twój  
narzeczony, jutro mają się odbyć zaręczyny,  
a w takiej chwili czujemy jakąś słodką nie-  
spokojność.

HELENA. (*z głębokim westchnieniem*)  
O Boże!

C E C Y L J A.

Co słyszysz?.. Westchnienie z głębi serca i je-  
szcze minorowe, tak się tylko wzdycha z tę-  
sknoty, zmartwienia; jakaż przyczyna twojego?

H E L E N A.

Cecyljo!.. widziałas Edwarda?..

C E C Y L J A.

Tak jest, i dobrze mu się przypatrzyłam.

H E L E N A.

I pytasz mię o przyczynę westchnienia...

C E C Y L J A.

Więc ci się nie podobał?..

H E L E N A.

Nie.

C E C Y L J A.

Ale dla czegoż wcześniej tego nie powiedziałaś?..

H E L E N A.

Obawiałam się gniewu ojca.

C E C Y L J A.

Przebacz mi, ale to przesadzona nieśmiałość. Ja pewnie jestem najposłuszniejszą córką z całego świata, ale mojem sercem nie dam rozrządzać... Słuchaj, gdyby mi mój ojciec przeznaczył za męża człowieka, którego bym kochać nie mogła, stanęłabym przed nim śmiało i z najgłębszą pokorą, jaką mu jestem winna, powiedziałabym: Ojcze! ten człowiek nie będzie moim mężem!.. krótko i jasno. Ale jestem przekonana, iż w podobnym przypadku nigdy znajdować się nie będę, albowiem ojciec zostawił mi wolny wybór, i jest ze swego przyszłego zięcia zupełnie zadowolony.

HELENA.

Szczęśliwa!.. pewnie bardzo kochasz twojego Karola?..

CECYLJA.

Mówiąc między nami: nad życie!.. Ale jestem też i o jego miłości przekonaną. Gdy opuszczałam Wiedeń, aby kilka tygodni tu u was przepędzić, jakże się biedny martwił.

HELENA.

Bo cóż jest okropniejszego nad oddalenie od osoby, którą się prawdziwie kocha.

CECYLJA.

Prawda, a Karolowi stokroć trudniej jest znieść to oddalenie, jak komu innemu; bo jest niezmiernie zazdrosny. Chcę go z tej słabości wyleczyć; choćby też najmocniejszymi środkami. Ale ty kochana Heleno!.. cóż czynić zamierzasz?.. Intercyza napisana, kaplica zamkowa przyozdobiona w świeże kwiaty, jutro macie być połączeni.

HELENA.

Poświęcę się woli ojca!

CECYLJA.

Biedna Heleno!.. żal mi cię szczerze!.. Wyznaję, że twój narzeczony i mnie się nie bardzo podoba. Chce być dowcipnym, a jest śmie-



sznym, niedorzecznym... mieni się być rozumnym, a ja sędzę, że gdyby proch jeszcze nie był wynaleziony, onby go pewnie nie wynalazł... Zresztą dobra dusza, wielu gorszych byś znalazła; i gdyby serce jeszcze było wolne, można by się pomalutku przyzwyczać do niego.

HELENA. (z westchnieniem)

Tak... gdyby...

C E C Y L J A

Także to?.. więc już miłości... a ja o tém nie wiem... pięknie!.. bardzo pięknie!.. (*bierze ją za rękę*) Nie jestem twoją przyjaciółką? Któż podbił twoje serduszko?.. Za karę, że tak długo przedemną tałaś, wyznaj wszystko.

H E L E N A.

O moja dobra Cecyljo, nie uważałaś nic kiedy bawiłam w mieście w waszym domu?..

C E C Y L J A.

Nic nie dostrzegłam.

H E L E N A.

Fryderyk Alberg posiada moje serce. Kiedy go pierwszy raz widziałam u ciebie, pokochał mię, później poznałam go lepiej, wyznaliśmy sobie naszą miłość, i zapewnili przysięgą wiecznej wierności.

C E C Y L J A.

Aha: Fryderyk! dla tego to nasz dom odwiedzał tak często, i najpiękniejsze książki przynosił mi do czytania; dla tego to namawiałaś mię do używania tak często przechadzki, nawet wczasie niepogody, a ja nie domyślałam się!.. o zaślepienie! (*słychać odgłos gitary*)

C E C Y L J A.

Cóż to jest?...

H E L E N A.

To on Cecyljo!.. on!

C E C Y L J A.

Ebę! Dla tego tak bardzo lubisz ranne powietrze?.. O kobiety!.. kobiety!.. wykrzyknęłabym, gdybym nią sama nie była. Heluniu, po tobie byłabym się tego nigdy nie spodziewała... no proszę, niewiniątko!.. jabym się nie odważyła na coś podobnego; a przecież nazywają mię szaleńcem w całym zamku.

## S C E N A II.

CIŻ SAMI, FRYDERYK. (*za murem, kaszle głośno kilka razy*)

C E C Y L J A.

Słyszysz, kaszle... biedny człowiek, tak chłodne ranne powietrze.

H E L E N A.

Proszę cię nie żartuj.

FRYDERYK. (*przestaje grać, i woła cichym głosem*)

Heleno!. droga Heleno!..

H E L E N A.

On mię woła.

C E C Y L J A.

Więc mu odpowiedz?..

HELENA. (*namyśla się*)

F R Y D E R Y K.

Jesteś tam?..

H E L E N A.

Tak, ale bądź ostrożny.

F R Y D E R Y K.

Oh! wybiła godzina mojego szczęścia, jedno spojrzenie twoich pięknych oczu, jedno ścisnienie twojej ręki, doda mi znów odwagi; aby czekać i cierpieć.

CECYLJA. (*uśmiecha się, i ociera oczy*)

O! jak tkliwie!.. jak czule!..

F R Y D E R Y K.

Otwórz drzwi, pozwól mi ujrzeć twoją nadobną postać.

### SCENA III.

CIŻ SAMI, SPELT.

SPELT. (*zbliża się z cicha, i słyszy ostatnie słowa*)

Co słyszę, *rendez vous?*.. słuchajmy. (*ukrywa się za krzak*)

FRYDERYK. (*za sceną*)

Pozwól mi rzucić się do nóg twoich, i wznowić przysięgę wierności.

SPELT. (*na stronie*)

Poczekaj, ja ci wznowię.

HELENA. (*cicho do Cecylji*)

Mamże otworzyć drzwi?..

C E C Y L J A.

Nie radzę ci. Ojciec twój już nie śpi, i gdyby tu nadszedł...

HELENA. (*zbliża się do muru i mówi cicho*)

Dziś widzieć się z tobą nie mogę.

F R Y D E R Y K.

Przynajmniej przeczytaj ten bilecik; daj mi odpowiedź. (*Fryderyk rzuca kamień, do którego bilecik jest przywiązany, Spelt zbliża się prędko i podnosi go*)

HELENA. (*do Cecylji*)

O nieba!.. mój ojciec!

CECYLJA.

To nas złapał.

FRYDERYK. (*za sceną*)

Masz mój list?..

SPFLT. (*udanym cienkim głosem*)

Mam. (*odwiązuje z kamienia bilecik*)

HELENA.

Czyta go, zginęłam!..

FRYDERYK.

Czytaj, najdroższa.

SPELT. (*jak pierwsj*)

Czytam. (*ogląda list na wszystkie strony*)

List bez adresu i podpisu.

CECYLJA. (*cicho do Heleny*)

Wybornie! biore wszystkie na siebie.

SPELT.

A może też do mnie pisany?.. zobaczmy  
(*czyta*) »Najdroższa!« Nie, nie do mnie, tytuł nie  
stosowny. (*czyta dalej*) »Nie mogę żyć dłużej  
»oddalony od ciebie; cztery dni upłynęło jak  
»cię nie widziałem.. Miej litość, wyznacz mi  
»godzinę, gdziebym cię mógł widzieć i mówić

»z tobą bez świadków. Klucz od furtki w mo-  
»jém ręku. Jeżeli w tej chwili nie masz się ko-  
»go obawiać, przerzuć ten kamień, do któ-  
»rego bilecik jest przywiązany; to będzie znak  
»że cię widzieć mogę.« (*składa list napowrót*)  
Nie, list ten nie do mnie.

CECYLJA. (*chcąc wziąć list*)

Ale do mnie.

SPELT.

Doprawdy?.. do Wpännv?.. To Jmościanka  
prowadzisz tajemne korespondencje z młode-  
mi kawalerami.

CECYLJA.

Przepraszam, nie z młodeimi, tylko z młó-  
dym. Liczba mnoga nie zawsze jest dobra;  
proszę o mój bilecik, trzeba bowiem panu wie-  
dzić, że słodkie bileciki są mi najprzyjemniej-  
szą zabawą.

SPELT.

List, który ja do twojego ojca napiszę, nie  
bardzo chętnie przyjmie, przysięgam ci.

CECYLJA.

Mój ojciec zna mię dobrze.

SPELT. (*oddaje jój list*)

Kiedy list do ciebie pisany, odpowiedzże na  
niego.



C E C Y L J A.

Odpiszę, ale teraz nie wypada.

FRYDERYK. (*z za muru*)

Najmilsza!.. kiedyż mogę mieć nadzieję?..

S P E L T.

Słyszysz jak mu pilno.

C E C Y L J A.

Niech poczeka.

FRYDERYK.

Przerzuć kamień.

S P E L T.

Nie może czekać, dopomina się, rzucze mu kamień.

C E C Y L J A.

Nie, nie uczynię tego.

S P E L T.

A więc ja za ciebie przerzucę i poznam twój gust. (*podnosi kamień i przerzuca*)

H E L E N A.

O nieba!

## SCENA IV.

CIŻ I FRYDERYK.

FRYDERYK. (*otwiera drzwi ogrodowe i wchodzi*)

Nareszcie jestem tak szczęśliwy, moja najdroższa... (*spotyka Spelta i nagle przerywa*)

S P E L T.

Uniżony sługa!

FRYDERYK. *(do Cecylji, która ukryta za Speltem, daje mu znaki)*

Pozwól mi zapytać się...

CECYLJA. *(zbliżając się do Fryderyka)*

'To tylko panu odpowiedzieć mogę, że przez twoją niedelikatność, w nienajprzyjemniejszym jestem położeniu.

SPELT. *(n. s.)*

Ciekawym, jak się z tego wywikła.

FRYDERYK.

Na honor nie wiem... byłem... miałem...

CECYLJA.

Żadnych wybiegów. Wiedziałeś pan o tém że znajduję się u pana Spelt, zacnego przyjaciela mojego ojca, i że tu nie jest miejsce, aby się ze mną widzieć można.

FRYDERYK. *(spogląda na Helenę, która daje mu znaki, potem mówi na stronie)*

'Teraz zaczynam pojmować...

CECYLJA.

Chociażby miłość, którą wzbudziłeś we mnie była najsilniejszą, zależę od mojego ojca, którego kocham, szanuję, od niego tylko możesz rękę moją otrzymać!

HELENA. (*d. s.*)

Luba Cecylja!

SPELT. (*d. s.*)

Dobrze powiedziała.

FRYDERYK. (*który pod czas téj sceny niemą grą rozmawiał z Cecylją i Helena*)

Ah! droga pani, jestem tak zawstydzony, i pomieszany.

C E C Y L J A.

I bardzo sprawiedliwie; bo widzisz teraz sam tak dotkliwie mię obraziłeś? Co teraz pan Spelt o mnie pomyśli!

S P E L T.

Dobrze mówi, jakież mogę mieć o niéj wyobrazenie?

F R Y D E R Y K.

Poznaję mój nierozsądek i proszę, raczcie mi darować moją śmiałość.

S P E L T.

Wyznam otwarcie, że sposób podobnego wmykania się jest szczególny. Ale tacy są zwykle zakochani, zawsze szukają drogi krzywej i bocznych drzwiczek.

HELENA, (*d. s.*)

Biędny Fryderyku!..

SPELT.

Czy nie możnaby przynajmniej wiedzieć kto jest ten jegomość przerzucający kamienie?

FRYDERYK.

Nazywam się Fryderyk Alberg, mój ojciec jest radcą w stolicy, a ja od sześciu tygodni stoję garnizorem w sąsiedzkim miasteczku.

SPELT.

A więc wojskowy?

FRYDERYK.

Kapitan dragonów.

SPELT.

Panie kapitanie, gdybym miał szczęście być półkownikiem pana, pewno byś za twoją lekomyślność posiedział kilka dni w kozie, ale ponieważ tylko w moim domu jestem dowódcą, dla tego proszę abyś go jak najprędzej opuścił.

FRYDERYK. (*nieco obrażony*)

Panie...(*spogląda na Helenę, która zdaje się go prosić*)

SPELT.

Pan wszedłeś przez te małe drzwi, teraz

przez wielkie raczysz odejść; oto wszystko co dla niego uczynić mogę. Jeżeli pan pozwoliś będę miał zaszczyt odprowadzić go.

HELENA. *(do Cecylji)*

Musi odejść.

C E C Y L J A.

Szczęście!

FRYDERYK. *(obraca się do Cecylji ale właściwie mówi do Heleny, która za nią stoi)*

Żegnam cię pani, to mojem nyjgorętszem życzeniem, aby się udało przyjaźni poprawić błędy miłości. *(chce odejść przez małe drzwi)*

S P E L T.

Wstrzymaj się panie Rotmistrzu. Już ta droga odtąd będzie na zawsze zamknięta...Racz pan pójść zemną. *(chce odejść z Fryderykiem)*

## SCENA V.

C I Ź ; E D W A R D.

E D W A R D.

Ah! wszyscy w ogrodzie. Piękne dzień dobry wszystkim!.. *Bon jour Monsieur Spelt, wtym rannym ubiorze wyglądasz pan prześlicznie, charmant.*

S P E L T.

Zatrzymaj się pan chwilę, muszę temu panu drogę pokazać.

E D W A R D.

*Si je ne me trompe, to on...Co widzę!..Fryderyk!..*

FRYDERYK. (*klaniając się*)

Pan Boru!

E D W A R D.

Ja to ja *mon ami*; ten którego kochają wszystkie kobietki, na którego mężowie patrzą z ukosa ten sam sercokradzca Born. *Embrassez moi. (ściska go)*

HELENA. (*cicho do Cecylji*)

Znają się.

S P E L T.

Jesteście więc przyjaciółmi?

E D W A R D.

Najszczerzemi...Jesteśmy jednem sercem, jedną duszą. Cóż to *mon ami* czy chcesz odchodzić już? ah nie, nie, musisz zostać.

CECYLJA. (*z cicha do Heleny*)

Przedziwnie!

FRYDERYK. (*wskazując na Spelta*)

Przymuszają mię do tego.



EDWARD. (*do Spelta*)

*Mon cher papa*, nie mówiłeś mi że znasz pana Kapitana?

S P E L T.

Dziś widzę go pierwszy raz w mojem życiu.

E D W A R D.

Czy tak?.. (*do Fryderyka*) Aha, zapewne wiedziałeś że ja tu jestem, i chciałeś mi uczynić przyjemność.

F R Y D E R Y K.

Mogę upewnić cię...

S P E L T.

Nie, nie, ten Jegomość niedla ciebie przyszedł tutaj, był tu inny magnes...Panna Cecylja.

E D W A R D.

*Qu'entends je* nasza mała skromnisia, o której możnaby sądzić że trzech zliczyć nie umie. (*do Cecylji*) Nakoniec złapaliśmy panią?.. Niebędziesz że się pani natychmiast rumienić.

C E C Y L J A.

Prawdziwie niewiem dla czego bym się wstydzic miała.

S P E L T.

Pan Kapitan przyszedł przed wschodem słońca przygrywać na gitarze.

E D W A R D.

Bardzo romansowo *comme un Troubadour*.

S P E L T.

Wcisnął się potajemnie do ogrodu. Panienska dotrzymała *rendez vous*; ale o co się gniewać będziesz kochany Edwardzie, to zapewne o to, że moja córka jej towarzyszyła.

E D W A R D.

Co gniewać się? wcale nie! Sama przyzwoitość wymagała aby towarzyszyła Cecylji *c'est biennaturel*.

S P E L T.

Dla téjże saméj przyzwoitości prosiłem pana kapitana aby mój ogród opuścił.

E D W A R D.

Bardzo siusznie, ale dla mojej przyjaźni proszę cię pozwól mu zostać.

S P E L T.

Ale ja tego pana wcale nie znam.

E D W A R D.

Ja ręczę za jego szlachetne urodzenie, za jego majątek, za jego dobre imię; jednem słowem przedstawiam go panu jako najlepszego przyjaciela, czegoż pan żądasz więcej...

CECYLJA. (*n. s. do Heleny*)

Nalega aby został, wybornie.

E D W A R D.

Przypadek sprowadza tu najgodniejszego młodzieńca, którego poznałem w stolicy, aby był świadkiem mojego szczęścia. Powinien i musi być na mojem weselu.

F R Y D E R Y K.

Żenisz się?..

E D W A R D.

*Oui mon ami*, w rączki tej godnej miłości istoty. (*wskazując Helenę*) jutro składam wolność moję, *et mon coeur*.

FRYDERYK. (*n. s.*)

O Nieba!

E D W A R D.

Widzę że cię to zadziwia... *Mais que faire?* człowiek raz przecie musi swoich pustot zaprzestać; chcę z burzy młodości zawinąć do portu spokojności i domowego szczęścia.

S P E L T.

Kochany zięciu, mówią że twoja młodość była bardzo burzliwą.

E D W A R D.

Nie zaprzeczam, ale nie żałuję tego. Tym sposobem pozyskałem sobie sławę najprzyjemniejszego *et le plus galant* z młodzieży

stolicy. Wszystkie najdobrzejsze towarzystwa zapraszały mię do siebie i nazywano mię źródłem dowcipu i wesołości. Kobiety postrzegłszy mię, szeptały z cicha do siebie: *le voilà, le voilà*, ah jak piękny, *quelle taille svelte*, jaki wdzięk, *quel goût, quelle adresse!* a ja rzucając ukradkiem miłosne wejrzenia: *je soupirais*, a na moje westchnienie cała sala westchnieniem odpowiadała. Wszystkie nowości miasta ja najpierwszy wiedziałem, nie miałem sobie równego do Wista i Lombra, jeździłem na najpiękniejszych i najdzielniejszych koniach, a kiedy powoził siedziałem *comme un Phaëton* na koźle, i właśnie w tej postawie jeden z sławnych malarzy mię wylitografował. Gdzie tylko wszedłem, wszystkich oczy na mnie zwrócone, śpiewam przy fortepianie, wszystko zamienia się w ucho...deklamuję którą z moich poezji, wszystko zamienia się w serce. Na wszystkich balach ja rozpoczynam tańce, i w najnowszym roczniku wyrysowano moje figury Cotillonowe. *En un mot*, śmiało powiedzieć mogę, że zasłużyłem na przydomek ma-

łego Cezara, albowiem, gdzie tylko przyszedł, zobaczył, wnet zwyciężył. *Voilà le portrait de votre gendre!*

S P E L T.

Do kroć set katów; to się nazywa mieć zasługi. Winszuję ci szczęścia Heleno; przy takim mężu nie znudzisz się.

EDWARD. (*do Cecylji która się uśmiecha*)

Smiejesz się mała złośnie?.. Wkrótce się o lepszych rzeczach przekonasz. Już stolicę wprawilem w zadumienie świetnymi mojami dziełami, teraz chcę prowincję zbudować mojami cichymi cnoty. Szkoda tylko że tu nie ma nikogo z kimby można trzymać towarzystwo. Zupełnie dobrzy ludzie, ale wszyscy bardzo ograniczeni.

S P E L T.

Ah! pozwól pan...

E D W A R D.

Nie kochany teściu, przeciwko temu nie mów. Wszakże ja tu nie znalazłem ani jednego człowieka z którego bym mógł sobie zażartować. W stolicy, codziennie mój dowcip nową znajdował ofiarę... Ale, ale, zapomniałem powiedzieć po co tu właściwie przyszedłem.

Cheiałem donieść panu, że notariusz nas oczekuje, aby podpisać intercyzę ślubną.

S P E L T.

Dobrze, właśnie go zamówilem na dzisiaj rano.

EDWARD. (*do Fryderyka*)

*Mon ami* zabaw tu te damy... Zapowiadam ci żebyś mi się nie oddalał. (*z cicha*) Już ja teścia nakłonię na twoją stronę. Daję ci *ma parole d'honneur*, że zostaniesz przy twojej ulubionej.

S P E L T.

Pójdźże mój zięciu.

E D W A R D.

*Dans l'instant!* (*do Fryderyka i Cecylji*) Kochajcie się moje dzieci! kochajcie się wiecznie! miłość jest duszą życia; i żeby wam nie przeszkadzano to mojem będzie staraniem... *Au revoir!* (*idzie za Speltem*)

## SCENA VI.

CECYLJA, HELENA, FRYDERYK.

H E L E N A.

Ah! kochany Fryderyku! jak nierozważnie sobie postąpiłeś.



FRYDERYK.

Przebacz mojej tęsknocie, mógłżem się spodziewać?..

HELENA.

Gdyby nie Cecylja byłabym w najokropniejszym położeniu.

FRYDERYK. (*dó Cecylji*)

Ah! pani! jakże ci mam podziękować...

C EC Y L J A.

I tam dalej. Dajmy temu pokój, korzystaj raczej z wolnej chwili.

FRYDERYK.

Heleno!..czy być może?..ty żoną innego!.. tego nie przeżyję. Nieprzyjaciela mojego szczęścia przymuszę z bronią w ręku...

C EC Y L J A.

Niewdzięczny!..nieprzyjacielem go swoim nazywasz... To jest twój najlepszy przyjaciel, czyliż nie jemu winienes tę szczęśliwą chwilę?

FRYDERYK.

W istocie zaledwie przypominam sobie...

HELENA.

Jeszcze temu wierzyć nie mogę, ażebyś

ty Fryderyku w tak ścisłych stosunkach by  
z tym Jegomością...

F R Y D E R Y K.

Widziałem go może dwa lub trzy razy. Jest  
on jeden z tych przyjaciół, których się w sto-  
licy tuzinami nabywa, z a pierwszym spotkaniem  
każdego tykają, i braterstwem darzą. Zresz-  
tą człowiek gadatliwy, zarozumiały, i najnie-  
znośniejszy z modnisiów jakich kiedy znałem.

C E C Y L J A.

Pan Spelt przeciwnie, znalazł go tak god-  
nym kochania, że mu chce swój zamek da-  
rować, a nawet i córkę w dodatku.

F R Y D E R Y K.

Co słyszę!... i jutro, jutro ma być ślub!...  
Moje położenie jest okropne.

C E C Y L J A.

A ja mój panie, czyż mam łatwiejszą rolę  
do odegrania?.. rolę powiernicy, która wszystko  
ma na dobre zamienić. Już zaczęłam ją od-  
grywać, i pragnę dokończyć, jak można naj-  
pomyślniej; jeżeli wy mi dopomożecie...

H E L E N A.

Wszystko, co tylko zechcesz.

F R Y D E R Y K.

Ty jesteś moim aniołem opiekuńczym.

C E C Y L J A.

Rzecz najważniejsza, aby ich zostawić w tej myśli, że kapitan we mnie jest zakochany.

F R Y D E R Y K.

Ale jakże będę mógł...

C E C Y L J A.

Ah, proszę być grzeczniejszym. Sądzę, że nie będzie panu tak trudno zalecać mi się przez kilka godzin. Pamiętajcie, żebyście się nie zdradzili, ani poruszeniem, ani słowem.

H E L E N A.

Będę się wystrzegała jak najstaranniej.

F R Y D E R Y K.

Będę niemy.

C E C Y L J A.

Ale nie głuchy. Słuchajcie mię z uwagą... zostanę waszym pośrednikiem, waszym tłumaczem. To, co będę mówiła, będę mówić za Helenę i w jej imieniu, pan słyszysz mię i działasz stosownie.

F R Y D E R Y K.

Z największą przyjemnością.

C E C Y L J A.

Zrozumiesz mię pan, jeżeli naprzykład powiem, że będę dziś w wieczór w ogrodzie; to ma znaczyć, że Helena tam będzie.

HELENA.

Strzeż się jednakże, abyś w mojem imieniu nie popełniła jakiej lekkomyślności.

CECYLJA.

Nie troszcz się, tylko tym sposobem będziecie sobie mogli powiedzieć przy świadkach to czego sobie życzyacie, aby tylko z rozsądkiem i... nie zawcześnie. Czy zezwalacie na to?..

HELENA.

Bardzo chętnie.

CECYLJA.

Podajcie mi wasze ręce na znak pomocy i zgody. (*oboje podają jej ręce*)

CECYLJA. (*z patetyczną komicznością*)

Przysięgnijcie mi na wszystkich Bogów, pół-bogów, i ćwierć bożków, być rozsądnymi, i być panami waszej namiętnej miłości. Przysięgnijcie!.. (*stucha*) Zdawało mi się, że jak w Hamlecie coś pod ziemią: Przysięgajcie! zawołało. Ale nie, to tylko echo. (*puszcza prędko ich ręce*) Cicho, nieprzyjaciel wraca.

## SCENA VII.

CIŻ I EDWARD.

EDWARD (*do Fryderyka*)

*Eh bien mon ami, jakże tam idą twoje interesy miłosne?*

FRYDERYK.

Nie tak dobrze, jakbym sobie życzył.

EDWARD.

Dla czego?.. Już jesteś wprowadzony do zamku, mojemu teściowi nagadałem tyle dobrego o tobie, ile tylko mogłem.

FRYDERYK.

Prawdziwie, ta dobroć!..

EDWARD.

Prawda, że ja jestem dobra dusza, sam to sobie przyznać muszę. Samolubstwo znam tylko z nazwiska... Ale czyż może być co przyjemniejszego jak dwa kochające się serca połączyć na wieki! (*do Fryderyka*) Wszakże się kochacie na śmierć i życie, *n'est ce pas?*..

FRYDERYK.

Ona jest jedyną moją myślą, mój cel jedyny, aby się jej przypodobać.

CECYLJA.

Jeżeli tak, już pan jesteś na szczycie twojego szczęścia.

EDWARD.

*Bravo! superbe!*.. Jak tkliwie i grzecznie odpowiada. (*do Heleny*) Śmiejesz się, *ma belle future*, pewny jestem, że gdybym ciebie zapy-

tał, w téjże saméj chwili też samą otrzymał-  
bym odpowiedź...

HELENA.

Zupełnie.

EDWARD.

*Oh vous êtes trop bonne madame.* (cicho do  
Fryderyka) Uwielbia mię.

FRYDERYK.

Ah!..

EDWARD.

Wzdychasz, (do Cecylji) i ty mała filutko  
spuszczasz główkę w ziemię?.. Może i wy macie  
jaką przeszkodę w waszém połączeniu?.. Nie  
tajcie nic przedemną, jeżeli mam dopomagać,  
muszę o wszystkiém wiedzieć.

FRYDERYK.

Mam współzalotnika.

EDWARD.

Czy tak?..

CECYLJA.

Tak, i bardzo nam przeszkadza.

EDWARD.

Ale spodziewam się, że on przynajmniej nie  
jest kochany.

CECYLJA.

O niech Bóg broni!



HELENA. (*z żywością*)

O nie! zaręczain, nie kochany wcale.

EDWARD. (*do Fryderyka*)

No, to powinienes być zupełnie spokojnym: Połączeni wspólnie, staniemy śmiało przeciwko niemu, i odprawimy go z kwitkiem, czy będzie chciał czy nie. Ten człowiek właśnie mi w porę przychodzi, pragnąłem koniecznie z kogoś zażartować, i otóż zlapałem przedmiot. Naśmiejemy się do woli.

C E C Y L J A.

Tak, to prawda, że będzie śmiesznie.

E D W A R D.

Ja go już widzę. Ha! ha! ha!..

C E C Y L J A.

I my go już widzimy.

E D W A R D.

Musi on wpaść w moją łapkę, i z domu musi być oddalony.

C E C Y L J A.

Jednakże będzie nam cokolwiek przytrudno, bo ojciec się nim opiekuje.

E D W A R D.

Tak, tak, wszyscy ojcowie tacy; nigdy się nie spytają serca dzieci, siebie wydają za mąż

zamiast córek, i przygotowują życie pełne cierpienia *pour les pauvres enfans*. Bądźcie spokojni, już ja nauczę starego jegomości; dla mnie nie ma niepodobieństwa, musicie być połączeni, chociażby współzalotnik był takim człowiekiem... jak... jak ja sam!

HELENA.

Ojciec nadchodzi.

EDWARD.

Baczność, żeby się stary czego nie domyślił; wszyscy ojcowie są na jedną formę ulani.

## SCENA VIII.

CIŻ SAMI, SPELT.

SPELT.

Piękne rzeczy!.. Nakoniec całe gromady kochanków przybędą do mojego zamku. (do Cecylji) Słuchaj no!.. ilu ty masz wielbicieli, żebyś wiedział, czy przynajmniej będę miał tyle pokoi do umieszczenia wszystkich.

CECYLJA.

Nie rozumiem pana.

SPELT.

Nie rozumiem pana... Czy znasz jakiego młodego człowieka nazwiskiem Karol Moll, który teraz tylko co przybył?

CECYLJA. (*do Heleny*)

O Boże! Karol tu!

EDWARD. (*d. s.*)

Aha! otóż współzalnok przybywa!..biędny nie wie co go czeka!

S P E L T.

Powiedzże mi wyraźnie, czy znasz go?..pytał o ciebie.

C E C Y L J A.

Znam go, kochany panie Spelt. Często odwiedzał nasz dom, mój ojciec bardzo mu sprzyja, całą zimę wieczorami grywał z nim w Ruwel pikietę i umiał mu się przypodobać. Jest to młody doktor, który od pół roku dopiero został mianowany, ale pomimo starań mojego ojca, nie mógł otrzymać nigdzie stałej posady dla swojej praktyki.

S P E L T.

Czy tak?..zatem twój ojciec nim się opiekuje a więc to musi być jakiś zacny młodzieniec; i przyjmę go chętnie w moim domu. Panna

byś także lepiej uczyniła zwracając twoje zakochaue oczki na tego którego ci przeznaczają, toby zapewne twojemu ojcu było przyje mnięszem.

C E C Y L J A.

Wierzę temu.

E D W A R D.

Na co...w serdecznych okolicznościach nigdy się ojców nie pytamy.

S P E L T.

Co, co mój zięciu!..

E D W A R D.

Tak, w tym panu dopomódz nie mogę... Miłość nie znosi rozkazu, wciska się przez oczy do serca choćby nawet dziesięciu ojców stało na straży... a nadewszystko pierwsza miłość, znam to dobrze, ja często doświadczałem pierwszej miłości.

S P E L T.

Nie chcę aby ten młody człowiek czekał, pójdźmy na przeciw niego.

E D W A R D.

Tego właśnie pragniemy. (*cicho do Fryde.*)

*ryká i Cecylji*) Pozwólcie mi tylko działać, wejdzie tu ale dla tego tylko, aby jak najprędzej ztąd wyszedł. *Je vous donne ma parole d'honneur*, nazwiecie mię najniezręczniejszym, jeżeli wam długo będzie przeszkadzał. (*wszyscy idą za Speltem*)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

# AKT II.

*(Dekoracja taż sama)*

## SCENA I.

CECYLJA, KAROL.

KAROL.

Nakoniec mogę z panią sam na sam pomó-  
wić.

CECYLJA.

Drogi Karolu, nie możesz sobie wyobrazić  
w jak trudnem położeniu stawiało mię twoje  
przybycie.

KAROL.

Tu widzę bardzo wesoło, obawialiście się za-  
pewne abym wam nie przerwał zabawy. Jak  
na wieś, dosyć gości.

CECYLJA.

Towarzystwo nie bardzo liczne, ale dobra-  
ne...

KAROL.

Istotnie bardzo przystojni ludzie. Szczegól-  
niej jeden mi się podobał, ten...

CECYLJA.

Kapitan Alberg. Ah! prawdziwie kochania  
godny.



( 197 )

K A R O L.

Czy tak? zdaje mi się że on i panią także znajduje godną miłości?

C E C Y L J A.

Doprawdy.

K A R O L.

Jestem o tem przekonany.

C E C Y L J A.

Dostrzegłeś pan?..

K A R O L.

Tak dostrzegłem, że on wszędzie chodził za panią, że każde słowo które z jej ust wyszło z największą było uważane bacznością, dostrzegłem i to że jej rękę ścisnął. Ten pan kapitan kocha panią, kocha panią powiadam.

C E C Y L J A.

Być może!

K A R O L.

Pewnie! pewnie!..

C E C Y L J A.

I gdyby mię nawet kochał, cóżbyś pan miał przeciwko temu, jeżeli jesteś pewny że mu nie jestem wzajemną. Jakże możesz żądać, a bym dla człowieka który mię piękną znajduje mogła być niegrzeczną!..Sądzisz pan, że sam tylko masz oczy i serce.

K A R O L.

Nie, ale sądziłem aż dotąd, że Cecylja dla mnie tylko samego ma oczy i serce.

C E C Y L J A.

Drogi Karolu! Już ci tyle razy mówiłam, że twoja zazdrość bardzo mi jest nieprzyjemną. Powtarzam ci raz jeszcze i zapewniam: że tak jak jesteś nie uczyniłbyś mię szczęśliwą. Musisz się więc albo poprawić, albo wyrzec mojej ręki.

K A R O L.

Cecyljo! Cóżżeś wyrzekła z taką obojętnością.

C E C Y L J A.

Prawda, że pan nie możesz nic wymówić obojętnie, zawsze ogień. Za ledwie przybyłeś już mnie obarczasz wyrzutami, tłumaczysz sobie każde moje wejrzenie, czatujesz na każdy wyraz i tym sposobem bardziej obawę niż miłość wzniecasz.

K A R O L.

Ale ja pragnę się poprawić.

C E C Y L J A.

Wierzę z duszy jęgo dobrym chęciom, ale musisz pan i moc przyłączyć do tego żeby się przewyciężyć.

K A R O L.

Powiedzże mi pani, co mam czynić, czego żądasz odemnie?

C E C Y L J A.

Zaufania, nieograniczonego zaufania.

K A R O L.

Przyrzekam.

C E C Y L J A.

Ale bo mi pan tyle razy przyrzekałeś...

K A R O L.

Teraz dotrzymam mojego przyrzeczenia.

C E C Y L J A.

Zobaczemy. posłuchaj pan, idzie tu o tajemnicę.

K A R O L.

Dobrze, wyjawże mi ją jak najprędzej.

C E C Y L J A.

Gdybym mogła wyjawić, nie byłoby tajemnicy. Wszystko co panu mogę i co wolno mi powiedzieć, jest: Przytrafi się tu wiele rzeczy, które się panu będą dziwnemi zdawały, któreby cię nawet i zmartwić mogły, jeżeli mi nie zaufasz zupełnie; źle sądzić będziesz, sądząc tylko z pozoru. Karolu, dziś niepowinieneś ani słyszeć ani widzieć.

K A R O L.

Ale...

C E C Y L J A.

Każde ale, każda wątpliwość zabroniona. Być może, że mię niespodzianie zobaczysz w czułem sam na sam z innym mężczyzną...

K A R O L.

Tego nie zniosę.

C E C Y L J A.

Będziesz musiał patrzeć na to; jak będzie miłosnie na mnie spoglądał, jak ja będę zmuszoną podobnymże odpowiadać wejrzeniem, może nawet dostrzeżesz pocałowanie.

K A R O L.

Nie, nie Cceyljo!.. jestem człowiekiem, to byłoby za wiele!

C E C Y L J A.

Karolu! Przysięgam ci na pamiątkę matki mojej, wiesz jak mi drogą była, więc oceń świętość mojej przysięgi; kocham cię, ciebie tylko... co zobaczysz, co usłyszysz, będzie tylko udaniem, komedją, którą dzisiaj odegrać muszę, a ponieważ ci nie mogę wyznać wszystkiego, przeto mi nie przerywaj w jej odegraniu. Bądź tylko widzem, który się zachowuje spokojnie i nie okazuje ani zadowolenia,

ani nieukontentowania. Jeżeli chcesz tego, podaj mi rękę; jeżeli nie, opuść ten dom natychmiast.

K A R O L.

Chcę, chcę tego, *(podaje jej rękę)*

C E C Y L J A.

Cicho nadchodzą.

## SCENA II.

POPZEDZAJĄCY, EDWARD, FRYDERYK.

*(w głębi)*

FRYDERYK. *(do Edwarda)*

Muszę z nią pomówić.

KAROL. *(do Cecylji)*

Otóż znowu ten jegomość; piekła i nieba!..  
on ci daje znaki.

C E C Y L J A.

Znaki?.. Ah! już wiem. Mamy pomówić.

EDWARD. *(cicho do Fryderyka)*

Bądź cierpliwy, zdaje mi się, że nas postrzegła.

K A R O L.

Idźże do niego, wciąż ci daje znaki, niegrzecznie tak długo kazać czekać. *(uderza się w czoło)* Oszukany głupcze!

C E C Y L J A.

Ah bardzo prędko się poprawiłeś. Kochany Karolu, postępuj tylko tak dalej, a dotrzymasz twójgo przyrzeczenia. Teraz muszę cię na chwilę pożegnać. (*idzie wgląd, bierze Fryderyka pod rękę*)

K A R O L.

Ledwie oddycham!

EDWARD. (*do Fryderyka*)

Idźcie w tamtą aleję, i rozmawiajcie sobie spokojnie, ja tu zatrzymam tego rywala. (*Cecylja i Fryderyk odchodzą na prawo*) *Allez, allez mes enfans.*

S C E N A III.

EDWARD, KAROL.

KAROL. (*do siebie*)

Ona nie sobie z tego nie czyni. Jakto?.. w moich własnych oczach?.. Nie; to zawiele!.. pójdę za niemi, pójdę. (*chce odejść prędko*)

E D W A R D.

Stój! dokąd tak spiesznie? Zdajesz się być bardzo wzruszony.



K A R O L.

Ja!.. o nie!.. Jestem zupełnie spokojny.

E D W A R D.

Ciesz się, że na koniec pana samego znajduję; mam z nim pomówić w pewnej okoliczności, która go bardzo obchodzi.

KAROL. (*niespokojny, i wciąż oglądając się*)

Czy tak?.. bardzo dobrze... dobrze... ale on... cieszy się... jestem bardzo ciekawy... później będę miał zaszczyt... (*odpycha go nie bardzo delikatnie, i biegnie w stronę, którądy odeszła Cecylja*)

## SCENA IV.

EDWARD. (*sam*)

Ah, ah, ah! biegnie jak oparzony, i zostawia mnie samego. *Pauvre diable!* leć, leć, nie ujdiesz twojego losu. Gdyby ten człowiek wiedział, jaki mu żarcik przygotowaliśmy, przedziwny, doskonały! *excellent!* (*śmieje się głośno*)

## SCENA V.

EDWARD, SPELT, HELENA.

S P E L T.

Mój zięć zawsze w dobrym humorze! Cóż za powód?

E D W A R D.

Smieję się z tego kochanka, który nam spadł jak z obłoków, aby być przedmiotem żartu... ha! ha! ha!..

S P E L T.

Gdzież jest teraz?

E D W A R D.

Obiegł za śladem swojej niewiernej kochanki. Gdybyś go pan widział tak jak ja biegnącego, byłbyś się pewnie śmiał wraz zemną... ha! ha! ha!..

H E L E N A.

Co za kłopot!..

E D W A R D.

Dla tej biednej Cecylji. . Prawdę pani mówisz. Ona jest od obu wielbicieli tak obleżona, że sama nie którego pierwej wysłuchać.

S P E L T.

Widzisz kochane dziecię co z tego wynika, kiedy panna bez wiedzy rodziców zajmuje się nierozważnym przedmiotem miłości. Patrz tylko na twoją przyjaciółkę, jak ona musi udawać, jak musi swojego narzeczonego oszukiwać. Jestem przekonany, że za nic w świecie nie chciałabyś być na jej miejscu.

E D W A R D.

Bądźże cicho panie teściu!.. O pannie Helenie wcale tego powiedzieć nie można. Ona mnie za nadto kocha.

S P E L T.

I nigdy dla swojego ojca nie miała żadnej tajemnicy. Wszystko idzie podług mojego życzenia... moja wola jest jej wola, i jestem najszczęśliwszym z ojców.

E D W A R D.

A ja najszczęśliwszy *de tous les amans*.

HELENA. (*do siebie*)

Jakie męczarnie!

S P E L T.

Ale ty Heleno nic nie odpowiadasz, spuszczasz oczy w ziemię.

E D W A R D.

Niewinna dusza rumieni się pochwałą swojego ojca.

S P E L T.

Oh tej nierozważnej Cecylji dam ja naukę, którą długo popamięta. Tego mi jeszcze brakuje, ażebym z przyczyny jej miłostek, miał w moim domu nieprzyjemne wypadki. Z resztą

nie mam dosyć pokoi, aby pomieścić wszyscych wielbicieli tej lekkomyślnej dziewczyny.

H E L E N A.

Drogi ojcze, proszę cię, nie łaj tak bardzo Cecylji.

E D W A R D.

I ja także łączę moje prośby z prośbami panny Heleny. Nie bądź bardzo surowym.— Trzeba być litościwym na ułomności serca.

S P E L T.

Bądźcie spokojni, nie będę zbyt surowym.

H E L E N A.

Tak kocham Cecylją, żeby mię niezmiernie bolało, gdybyś ją zmartwił kochany ojcze.

E D W A R D.

I ja byłbym w rozpacz. A więc przez wzgląd dla dwojga młodych czułych i pełnych miłości narzeczonych... *pardonnez.*

S P E L T.

Nie miejcież mię znowu za człowieka bez uczucia... pojdźcie moje dzieci.

E D W A R D.

Czekam tu na Fryderyka, za chwilę powrócę do ciebie piękna Heleno. (*całuje ją w rękę, Spelt odchodzi z córką*)

## SCENA VI.

EDWARD. (*sam*)

Ah, jakże dobre serce posiada ta dziewczyna!.. Na Boga, *c'est un ange*... ale to co się nazywa anioł. I jak pała ku mnie miłością, nie może oczu odwrócić odemnie. *Et il n'y a rien d'étonnant*, gdyż natura utworzyła mię bardzo przyjemnie, musiało ją to nie maio pracy kosztować.

## SCENA VII.

EDWARD, FRYDERYK.

EDWARD.

Ah jesteś tu mój przyjacielu?..

FRYDERYK.

Sądziłem że tu znajdę Helenę.

EDWARD.

Tylko co odeszła ze swoim ojcem. Nie posiadam się z radości, powiadam ci: dziewczyna ubóstwia mię.

FRYDERYK.

A ja przeciwnie, jestem wrozpaczy!

EDWARD.

Cóż takiego?.. jakże tam twoja kochanka?

F R Y D E R Y K.

Rozmawiała dopiero z moim rywalem, i kiedy od niego odeszła, usta jego pałały z radości jak twoje, i tak mówił do mnie jak ty teraz mówiłeś: Dziewczyna ubóstwia mię.

E D W A R D.

Ah! jemu się zdaje, że ona go kocha!

F R Y D E R Y K.

Prawie przekonany o tém.

E D W A R D.

Niech cię to nie dziwi, wiadomo przecię do-  
kład zarozumiałość prowadzi niektórych męż-  
czyzn. Nie pojmuję jak można być tak zaśle-  
pionym! Śmiesznie patrzeć, jak dobrodusznie  
w każdą łapkę wpada, którą mu zastawiają.

F R Y D E R Y K.

Obawiam się bardzo, żeby tego nie do-  
strzegł.

E D W A R D.

Taka ograniczona głowa, *c'est impossible*.

## SCENA VIII.

CIŻ I CECYLJA.

C E C Y L J A.

Ah! pan Fryderyk!..Szukałam pana; nie masz  
ani chwili do stracenia.



F R Y D E R Y K.

Jakoż..

C E C Y L J A.

Jeżeli spiesznie działać nie będziesz, za nic nie ręczę co się stać może.

E D W A R D.

Cóż tam znowu nowego się przytrafiło?

C E C Y L J A.

Możeszże się pan jeszcze pytać?.. Pomnij pan w jakim położeniu znajduje się biedna, lękliwa dziewczyna, którą każde surowe wężrzenie przejmuje trwogą.

EDWARD. (*d. s.*)

Ona nieśmiała, nie widzę tego wcale.

C E C Y L J A.

Niestety, ja nie mogę już przeszkodzić temu zamierzonemu małżeństwu, teraz kolejna pana ażebyś wymyślił jaki podstęp.

E D W A R D.

Znajdzie go, bądź spokojna.

C E C Y L J A.

Powtarzam panu raz jeszcze, jeżeli utracisz jedną chwilę, jego współzałotnik odniesie zwycięstwo.

FRYDERYK.

Boże! czyżby tak daleko zaszło!..nie ja nie  
zniosę tego.

EDWARD.

Dobrze mówisz przyjacielu, nie zniesiemy  
tego.

CECYLJA.

Ah! Fryderyku ta ofiara nie tylko dla ciebie  
samego będzie bolesną, jeszcze jedno serce  
z krwawi; dla tego co myślisz uczynić czyń  
spiesznie albo twój rywal zwycięży.

EDWARD.

Nie zwycięży; stawiam w zakład całą moją  
reputacją. Trzebaby mieć serce z kamienia,  
żeby nas nie wzruszyła taka miłość, i żeby  
jej wszelkimi sposobami nie dopomagać...  
(*idzie pomiędzy nich*) Dzieci zdajcie się zu-  
pełnie na mnie, wy powinniście, wy musicie  
otrzymać pomoc.

## SCENA IX.

CIŻ i KAROL. (*w głębi*)

KAROL. (*d. s.*)

Otóż są znowu razem.

EDWARD. (*do Cecylji*)

Fryderyk będzie twoim mężem.

KAROL.

Co słyszę!

CECYLJA.

A rywal?

EDWARD.

Odejdzie z niczem tak jak przyszedł.

KAROL. (*n. s.*)

Przedziwnie!..wybornie!..

EDWARD. (*do Cecylji*)

Zdaje mi się że dla pani zupełnie obojętne, jakkolwiek bądź sobie z nim postąpiemy *n'est ce pas?*

CECYLJA.

Ale zupełnie!..upewniam pana.

KAROL. (*n. s.*)

Otóż jest tajemnica której wyjawić nie mogła.

EDWARD.

*Croyez moi Madame*, Fryderyk był w rozpaczy, że cię widział z nim mówiącą.

CECYLJA.

Jak niesłusznie!.. Trzeba mieć wzgląd dla człowieka który mi jest za męża przeznaczono.

ny, a szacunek zawsze mu się należy chociażby był najobojętniejszym dla nas.

K A R O L.

A więc jestem dla niej obojętnym. O poczwaro! twoje imię jest kobieta.

E D W A R D.

Dobrze mówisz, trzeba go tak oszukać, aby się niczego nie domyślił.

C E C Y L J A.

Trzeba w nim wzbudzić jakąś ufność.

KAROL.<sup>a</sup> (który się już ledwo wstrzymać może)

Nie, to za wiele!

E D W A R D.

Dobrze mówisz...ha!..ha!..ha!..musi być oszukanym koniecznie.

KAROL. (występując)

Nie mój panie, on nie pozwoli oszukać się

FRYDERYK. (d. s.)

Gtóż on.

C E C Y L J A.

Karol.

E D W A R D.

Jaką twarz zrobił.

C E C Y L J A.

Czy mam się śmiać czy gawędzić!

K A R O L.

Śmieję się pani jeżeli chcesz, i ja się z tobą śmieję; znam teraz twój śliczny plan, to co z jej ust slyszalem usuwa wszelką wątpliwość. Pani już nic więcej nie mam do powiedzenia. (do Fryderyka) Ale pan musisz mi dać zadosyć uczynienie.

FRYDERYK. (do Karola)

Jesteś w błędzie, mogę przysiędz na to.

K A R O L.

Napróżno. (z gniewném spojrzeniem na Cecylją) Już wiem, jak przysięgi cenić należy. Dosyć tego mości panie, jeżeli jesteś człowiekiem honoru zobaczymy się jutro.

E D W A R D.

*Mais mon ami* nie bądź zaślepionym, nie daj się unosić zazdrości; na śmieszność się wystawiasz.

K A R O L.

Dosyć tego!..

CECYLJA. (do Karola)

Pięknie, pięknie pan dotrzymujesz przyrzeczenia. Miałeś mi zaufać nieograniczenie.

K A R O L.

Boże! jeszcze szydzi zemnie!.. niewierna

gdzie rzecz tak jasna, każda ufność byłaby szaleństwem. Krótko mówiąc nie dam z siebie żartować.

## SCENA X.

CIŻ. SPELT.

SPELT.

Co się tu dzieje... Gniew, kłótnia!

EDWARD.

*Oui, mon père a wkrótce śmierć...*

SPELT.

[ Co, śmierć!.. Jakaż przyczyna.

EDWARD.

*Une bagatelle!* Cecylja jest ładna, *mon ami* Fryderyk ma parę oczu w głowie, a ten młody panicz (*wskazuje na Karola*) chce, ażeby się na nią nie patrzył.

SPELT.

Czy tak?...tego mi jeszcze brakowało... Czekaście, wnet położę koniec tej sprawie. Proszę pana abyś mój dom jak najprędzej opuścił, pragnę mieć spokojność.

FRYDERYK.

Nie chcę nadużywać jego dobroci, i oddalam się.



K A R O L.

Nie prędzej aż mi dasz zadcsyć uczynienie.  
Jutro rano oczekuję pana.

E D W A R D.

Kochany ojcze pozwól przelożyć sobie.

S P E L T.

Nie jużem się namyślił i postanowił...

C E C Y L J A.

Ale powinnyby się...

S P E L T.

Milczć i odejść. Pamiętaj że twój ojciec  
oddał cię w moją opiekę, i że ja tu zastępuję  
jego miejsce.

C E C Y L J A.

O, mój ojciec nie byłby zapewne tak su-  
rowym. Gdybym mu jedno słowo powiedzia-  
ła uściskałby mię w swoim objęciu, i prze-  
konałby się że jestem niewinną.

S P E L T.

O ty luba niewinności!

KAROL. (*d. s.*)

Ab to za wiele!

C E C Y L J A.

Tak, tak, panie Karolu, rzucaj na mnie cią-  
gle twojeżai zagniewanemi oczyma, dla tego  
jestem niewinną; co więcej przekonana nawet,  
że wkrótce będziesz mię błagał o przebaczenie.

Widzę cię już kłęzącego u nóg moich, błagającego i przysięgającego...

K A R O L.

Pani masz bardzo dobre oczy...

C E C Y L J A.

I dobre serce, skłonne do przebaczenia. Teraz zegniam cię mój zaślepiony, szalony Rolandzie, do widzenia panie Fryderyku!.. Mniemam, że dowiodłam przywiązania i tylko było w mojej mocy. (*odchodzi*)

## SCENA XI.

CIŻ, BEZ CECYLJI.

K A R O L.

Koniecznienie chce wmówić, że nie słusznie postępuję.

E D W A R D.

I tak jest niezawodnie; gdyż ten, któremu nie sprzyjają, zawsze niesłusznie postępuje.— Płacz, złorzecz, przeklinaj, wściekaj się, zabij się nawet, to wszystko nic nie pomoże.

K A R O L.

Niech pan przy sobie zatrzyma swoje spostrzeżenia, albo...

E D W A R D.

Cóż albo?.. *si! vous plait...*

SPELT. (*łagodząc Edwarda*)

Panie zięciu.

E D W A R D.

Gdybym był na miejscu tego pana, byłbym już dawno odjechał.

K A R O L.

A ja gdybym był na pana miejscu, tobym milczał i nie mieszał się do tego co do mnie nie należy.

E D W A R D.

Upewniam cię mój panie, że ta rzecz *m'intéresse beaucoup*.

S P E L T.

Ale mój zięciu, nie bądźże tak skorym w gniewie i pogódź się z tym panem. Chcę mieć spokojność w domu, i życzę aby zakończyć wszystkie kłótnie. (*do Karola*) Pójdź ze mną do domu panie Karolu. Wkrótce ósma wybije, niebo się zachmurza, zagramy sobie w pikietę, to cię zabawi i ostudzi krew wzburzoną.

K A R O L.

Przebacz mi pan jeszcze mam pomówić parę słów z tym panem. (*wskazując na Fryderyka*)

SPELT. (*biorąc go za rękę*)

Nie, do stu tysięcy piorunów, pójdiesz ze mną! a ty panie zięciu odprowadź twojego przyjaciela, któremu życzę szczęśliwej drogi. (*do Karola*) Pójdź zemną.

KAROL. (*odchodząc z cicha do Fryderyka*)  
Jutro rano o siódmej.

FRYDERYK.

Będę niezawodnie! (*Karol i Spelt odchodzą*)

## S C E N A XII.

EDWARD, FRYDERYK.

EDWARD.

Dobrze uczynił że odszedł, już krew zaczęła się burzyć we mnie.

FRYDERYK.

Zginałem!..

EDWARD.

Dla czego zginałeś?

FRYDERYK.

Rozłączają mnie na wieki z kochanką.

EDWARD.

Ale mówię ci, nikt was nie rozłączy.

FRYDERYK.

Któż może zmienić mój los nieszczęśliwy?

EDWARD.

Ja! Teraz twoja sprawa stała się moją własną. Teraz uwziętem się uszczęśliwić ciebie. *O mon ami* jeszcze mię nie znasz, kiedy mi się sprzeciwiają gotów jestem na wszystko.

FRYDERYK.

Ale...

EDWARD.

Bez uwag, bez powątpiewań, powtarzam ci to musi przyjść do skutku. Słuchaj mię, w takich wypadkach trzeba się chwycić gwałtownych środków.

FRYDERYK.

Ah! gdybym ją raz jeszcze mógł widzieć nim ten dom opuszczę!

EDWARD.

Zobaczysz się z nią.

FRYDERYK.

Ale jakim sposobem?

EDWARD.

*C'est mon affaire.* Stary idzie spać zawsze o 9 godzinie. Ja, jako zięć mogę włóczyć się po całym domu nie wzbudzając podejrze-  
nia... Poszukam Cecylji.

FRYDERYK.

Cecylji...dobrze...ale...

EDWARD.

Sam ci ją tu przyprowadzę.

FRYDERYK.

Ale czy ona zezwoli...o tej godzinie i sama?

EDWARD.

Ale zezwoli; aby nie uchybić przyzwoitości, poproszę Helenę aby jej towarzyszyła, ona z miłości dla mnie wszystko uczyni.

FRYDERYK.

Heleny... Przedziwnie! Przyjacielu jakże ci mam podziękować.

EDWARD.

Ab, mam jeszcze inne myśli w głowie. Jestem *bon homme*, ale kiedy mi kto dokuczy, jestem szatanem. Czy przyrzekasz mi być posłuszny we wszystkiém...

FRYDERYK.

Przyrzekam.

EDWARD.

Przyjmiesz wszystko za dobre, co ja dopełnić zamyszę.

FRYDERYK.

Zradością.

EDWARD.

Dobrze więc, idę i przyprowadzę ci twoją ulubioną. Ten przeklęty pan Karol Moll, będzie mi *moll* śpiewał, popamięta mię długo.



No, no, śmiało, głowa do góry!.. Ja działam za ciebie!.. Miłość, nadzieja, ufność, odwaga, stałość, a twój rywal będzie oddalony. Zdaj się na mnie! (*odchodzi*)

## SCENA XIII.

FRYDERYK. (*sam*)

(*Scena coraz bardziej się ściemnia*)

Co ten człowiek zadaje sobie pracy aby siebie samego zwyciężyć. Smiałbym się z duszy gdy mię boleść nieudręczała. Czy się uda ten pomysł który zamysła wykonać dla mego dobra? Czy Helena zezwoli... Zacny przyjacielu! przyrzekłeś połączyć nas jakże ci to wynagrodzę!

## SCENA XIV.

FRYDERYK, EDWARD, CECYLJA, HELENA.

(*Noc zupełna*)

EDWARD. (*pierwszy wchodzi*)

Pst! pst! przyjacielu, gdzie jesteś...

FRYDERYK.

Tu.

E D W A R D.

Panny już idą, szczęściem napotkalem je  
w ogrodzie.

F R Y D E R Y K.

Ab! jak mi serce bije!

HELENA. (*wchodząc z Cecylją*)

Drzę z obawy.

C E C Y L J A.

Odważnie.

E D W A R D. (*do kobiet*)

*Venez mes dames sans crainte*, ja ustalę  
wasze szczęście! Patrzcie nawet noc jest z na-  
mi w związku, wszystkie gwiazdy pokryły się,  
aby gwiazda miłości świecić mogła... Gdzież  
jesteś Cecyljo?.. Twój przyjaciel oczekuje cię  
z upragnieniem.

C E C Y L J A.

Jestem tu. (*cicho do Heleny*) Pójdź prędko  
na moje miejsce. (*przesuwa Helenę przed sie-  
bie, Edward bierze jej rękę i prowadzi do Fry-  
deryka*)

E D W A R D.

Zbliż się do wiernego serca *de ton amant*  
i ukój, twojemi słowy jego cierpienia.

FRYDERYK. (*cicho do Heleny*)

Czy to ty Cecyljo?..

HELENA. (*głośniej*)

Ja!..

E D W A R D.

*Que diable!* jeszcze wątpisz?.. Czy sądzisz żebym ci inną przyprowadził! Może moją narzeczoną, poznałbym ją myślą nawet. Spieszcie się, no moja panno, co się ma stać, niech się natychmiast stanie, nie ma czasu do stracenia. Mój powoz czeka w końcu zwierzyńca; gospodynią Hiller nakłoniłem do dobrej słowy, pieniędzmi, aby wam dla przyzwoitości towarzyszyła. Pójdę dowiedzieć się, czy już jest na umówioném miejscu. *Du courage*, nie pierwsza to będzie dla mnie wyprawa! (*odchodzi w głąb*)

F R Y D E R Y K.

Heleno, droga Heleno, czy pojedziesz?

H E L E N A.

Fryderyku, czegoż żadasz odemnie?

C E C Y L J A.

Tego, na co zezwolisz, jeżeli pragniesz zerwać twój związek z Edwardem.

H E L E N A.

Ale mój ojciec?!

C E C Y L J A.

Będzie musiał nareszcie dopełnić próśb waszych, kiedy już inaczej uczynić nie będzie można.

H E L E N A.

Cóż ludzie na to powiedzą?

F R Y D E R Y K.

Czy u ciebie więcej znaczą ludzie, jak wierne i tobie zupełnie oddane serce.

EDWARD. (*wracając*)

*C'est bien pathétique?* Nie wzdychajcież tak wiele; dalej do dzieła. Cecyljo, siadaj do powozu z Fryderykiem, już gospodyni czeka.

HELENA. (*do Cecylji*)

Nie, nigdy.

CECYLJA. (*powtarzając słowa Heleny*)

Nie, nigdy!..

F R Y D E R Y K.

Błagam cię na kolanach.

E D W A R D.

Ale wstań, któż w nocy klęka, tego nie widać. Spieszcie do powozu i dalej do mojej

matki, (*daje Fryderykowi list*) ten list wyjedna wam najlepsze przyjęcie. Z tamtąd piszcie z żalem i pokorą do ojca Cecylji.

HELENA. (*cicho do Cecylji*)

Nie mogę uciekać.

CECYLJA. (*powtarzając w tym samym tonie*)

Nie mogę uciekać.

E D W A R D.

Choćbyś nawet nie mogła, to już on cię nauczy.

FRYDERYK. (*do Edwarda*)

Ah! przyjacielu proś jej, aby choć słowo do mnie powiedziała.

E D W A R D.

Jeżeli cię prawdziwie kocha, nie opuści tej ostatniej sposobności, aby twoją zostać na wieki.

HELENA. (*cicho do Cecylji*)

Ale powinność córki...

C E C Y L J A.

Ale powinność córki...

E D W A R D.

Siadajcie z tą powinnością córki do powozu, i pomyślcie jak później zadosyć jej uczynić.

HELENA. (*cicho do Cecylji*)

Czy mam się na to odważyć?..

C E C Y L J A.

Czy mam się na to odważyć?..

F R Y D E R Y K.

Bądź pani zupełnie spokojną... przysięgam ci...

E D W A R D.

Daléj do powozu.

HELENA. (*cicho do Cecylji*)

Ha! stało się!..

CECYLJA. (*podaje rękę Heleny Fryderykowi*)

Ha! stało się!..

F R Y D E R Y K.

O szczęście!..(*do Edwarda*) Przyjacielu! aniele mój opiekuńczy, jakże ci wynagrodzić?

E D W A R D.

Mówiąc krótko, i odjeżdżając natychmiast na miejsce wskazane.

F R Y D E R Y K.

Pójdź więc! (*prowadzi Helenę do małych drzwierek, gdzie czeka gospodyni, która z niemi odchodzi*)

E D W A R D.

Weźcie moje błogosławieństwo! (*śmieje się*)



*głośno*) Ha, ha! Udało się to wielkie dzieło, połączyłem ich; a ten głupi współzalomnik dopiero jutro oczy i gębę otworzy... widzę jego zadziwienie...stoi osłupiały!...ha, ha, ha!...*oh comme il est bête avec son regard...* (*stoi w postawie o której mówił, zasłona spada*)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

## A K T III.

(Dekoracja taż sama)

### SCENA I.

KAROL, CECYLJA.

K A R O L.

Jakto?.. droga Cecyljo!.. czy podobna?..

C E C Y L J A.

Tak jest, szczerą prawdą.

K A R O L.

Więc Fryderyk kocha Helenę i uciekli razem?

C E C Y L J A.

Tak, tak, i jeszcze raz tak.

K A R O L.

A ty droga istoto, tylko dla przyjaźni Heleny tak przykrą dla mnie grałaś rolę?..

C E C Y L J A.

I nie najgorzej ją grać musiałam, sądząc po twojem uniesieniu. (*opiera się z lekka na jego ramieniu*) Jakże, czy jesteś jeszcze tak zagniewany?..czy chcesz jeszcze twojego współzawodnika śmiercią ukarać?

K A R O L.

Twoja wola stanie się odtąd moją; ale przyznaj sama, pozory były przeciwko tobie.

C E C Y L J A.

Przekonałeś się więc mój przyjacielu że pozory są zwodniczym światłem? Moi panowie na co się przyda zazdrość wasza! tylko was śmiesznemi czyni. Jeżeli nie wierzycie sercu, podstrzeżenie i gniew na nic się nie przydadzą. Każda z nas zwiedzie najczujniejszą baczność, jeżeli was zechce oszukać; ale żadna nie uczyni tego jeżeli jesteście przyjemni, kochania godni, i obdarzacie nas zaufaniem.

K A R O L.

Otóż nadchodzi zajmujący pan Born.

C E C Y L J A.

Jeszcze o niczem nie wie. Tenby mógł dawać lekcje zaufania.

KAROL. (*przerywając*)

Za które pokornie dziękuję, jeżeli taką jak on mam odebrać nagrodę.

C E C Y L J A.

Cicho, ustąpmy cokolwiek. (*odchodzą do altany*)

## SCENA II.

EDWARD. (*na scenie*) CECYLJA i KAROL.  
(*w altanie*)

EDWARD. (*wchodzi z uśmiechem na twarzy*)  
No, bitwę wygrałem, kochającą się parę u-  
szczęśliwiłem, teraz o własnem szczęściu po-  
myśleć trzeba.

CECYLJA. (*cicho do Karola*)

Wsam czas.

E D W A R D.

Pięknie wschodzi słońce, które moim za-  
ręczynom przyświecać będzie.

CECYLJA. (*cicho do Karola*)

Tak, ale nie bardzo przyjemnie wczoraj za-  
szło.

E D W A R D.

Przeczuwam już tę rokosz *qui m'attend*.

CECYLJA. (*j. w.*)

Błędne przeczucie.

E D W A R D.

Widzę już, jak *ma belle* zarumieniona na-  
przeciw mnie wychodzi.

C E C Y L J A.

Gdyby to mogło być prawdą.

EDWARD.

Z początku wzdraga się wymówić to drogie: „tak“ jak drży...lęka się...ale wkrótce przewycięzę ten paniński opór, i pełna radości rzuci się w moje objęcia.

CECYLJA.

Tak, gdyby już w innego objęciach nie była.

EDWARD.

O dniu najwyższej radości!

CECYLJA. (*j. w.*)

Nim się dzień skończy, nie trzeba go chwalić.

EDWARD. (*patrząc za scenę*)

*Que vois-je?* to Fryderyk, ten nierozważny.

### S C E N A III.

EDWARD, FRYDERYK, KAROL, CECYLJA.

(*w altanie*)

EDWARD.

Co, ty tutaj!..Przez miłość boską, co tu jeszcze masz do czynienia?

FRYDERYK.

Mam tu sprawę honorową.

E D W A R D.

Z panem Moll...Ah o tej przeklętej sprawie na śmierć zapomniałem.

F R Y D E R Y K.

Ale ja nie.

KAROL. (*n. s. do Cecylji*)

Teraz czas pokazać się.

C E C Y L J A.

Do widzenia! (*odchodzi*)

## SCENA IV.

EDWARD, FRYDERYK, KAROL.

E D W A R D.

Nie sądziłem, ażeby z żartu przyszło do prawdy. Ale patrz, *c'est lui*.

F R Y D E R Y K.

Jestem tu o umówionej godzinie, gotów dać panu zadosyć uczynienie; lecz pierwej pozwól mi pomówić z sobą sam na sam.

KAROL. (*śmiejąc się*)

Ale do czegoż to?..

E D W A R D.

Nim dalej zaczniecie działać moi panowie, pozwólcie waszemu obustronnemu przyjacielowi uczynić niejakię przełożenia, aby zgodnie tę sprawę zakończyć.



K A R O L.

Wszystkie przełożenia są zbyteczne, wiem że pan Alberg nie wykroczył przeciw mnie, że mię nie obraził, i pozostaje mi tylko prosić go ażeby przebaczył zbytecznemu uniesieniu i został moim przyjacielem.

FRYDERYK. (*n. s.*)

Wię wszystko. (*głośno*) Pozyskanie twojej pani przyjaźni uczyni mię prawdziwie szczęśliwym.

EDWARD. (*d. s.*)

Alia! już się godzą. (*głośno do Karola*) Ciesz się mię bardzo panie Moll, że w tém świetle całą rzecz uważasz, jak rozsądek uważać nakazuje... *Jespere*, że i na mnie gniewać się nie będziesz.

K A R O L.

Wcale nie.

E D W A R D.

Kiedy tak, muszę panu wyznać: że ja byłem istotnie sprężyną tego wszystkiego co się tu stało, ja prowadziłem tę całą grę, aby tych dwoje kochanków uszczęśliwić.

K A R O L.

Bardzo dobrze pan uczyniłeś.

E D W A R D.

Ale pan zapewne nie wiesz o tém, że panienka zeszłej nocy ze swoim ulubionym wyjechała?

K A R O L.

Czy tak?.. To mię bardzo cieszy.

E D W A R D.

Więc pan jesteś kontent z tego co się nazywa.

K A R O L.

Tak, jestem co się nazywa kontent.

E D W A R D.

No to mi jeszcze pan, podziękujesz zapewne gdy mu szczerze opowiem, że to ja podałem im tę myśl ucieczki i że do tego pożyczyłem im własnego powozu.

K A R O L.

Wybornie!..nie posiadam się z radości!..A więc pan sam?..

E D W A R D.

Tak, tak, ja ich wysłałem. (*cicho do Fryderyka*) No, ten pocziwiec cieszy się ze wszystkiego, onby nawet był szczęśliwy gdyby mu kto, żonę uwiózł.

KAROL. (*do Edwarda*)

Ale uważam, że tu jestem za nadto. (*śmieje się*) Może pan masz jeszcze temu panu wyświadczyć jaką ważną usługę, ja nie chcę mu przeszkadzać w dopełnianiu jego wielkomyślności. (*do Fryderyka*) Żegnam pana; chciiej być pewnym, że skoro tylko mój błąd poznałem, pragnąłem go natychmiast poprawić. Jeszcze więcej nawet uczynię, i mam nadzieję, że wkrótce dam dowód, ile mię twoja sprawa obchodzi. Pomówię z panem Spelt, i skutki tej rozmowy pewno korzystne będą dla pana. (*do Edwarda*) Żegnam cię mój usłużny panie Born.

E D W A R D.

Żegnam; (*Karol odchodzi*) mój ty zaślepiiony, ograniczony panie Karolu!.. *je ne conçois* jak można być tak głupim.

## SCENA V.

EDWARD, FRYDERYK.

E D W A R D.

Trzeba wyznać, że ten człowiek posiada

szczególniejszą obojętność; ale mówmy lepiej o naszej pięknej podróźnej. Jak ją moja matka przyjęła, jak się ma?

FRYDERYK.

Jeszcze tam nie pojechała, zostawiłem ją pod opieką pani Hiller o dwieście kroków, w wiosce pana Salzberg.

EDWARD.

*Que dites vous?..*

FRYDERYK.

Zaledwie wsiadła do powozu, chciała z niego wysiąść, i z pośpiechem wrócić do ojca.

EDWARD.

O kobiety! kobiety!

FRYDERYK.

Musiałem jej uleźć; płakała i prosiła aby nie jechać dalej. Dla tego zostawiłem ją w pobliskiej wsi, sam powróciłem zadosyć uczytnić honorowi, a potem...

EDWARD.

I cóż potem?..

FRYDERYK.

Wraz z nią rzucić się do nóg jej ojca, wszystko mu wyjawić .. i błagać go o przebaczenie..

E D W A R D.

Ha, ale kiedy już inaczej być nie może, staraj się o to mój przyjacielu. *Du reste* cóż może mieć przeciwko tobie?.. Nie jesteś awanturnikiem, *vous sortez d'une noble famille*, masz sposób do utrzymania żony... a więc odważnie, przyprowadź swoją ukochaną, i rzuć się do nóg ojca; ale ona musi być przy tém koniecznie, łzy córki muszą płynąć i zmiękczyć serce starego.

F R Y D E R Y K.

Dobrze, usłucham twojej rady, przyprowadzę ją, i natychmiast pospieszemy błagać przebaczenia! (*odchodzi*)

## SCENA VI.

EDWARD, (*sam, potem*) WÓJT I BAKAŁARZ,  
WIEŚNIACY, (*plci obojój, dziewczęta niosą kwiaty*) MUZYKANCI.

E D W A R D.

Ał! otóż i wieśniacy z muzykantami, których sam na dzisiejsze moje zaręczyny zaprosiłem. Dziś wszystko musi być wesołem.

WÓJT. (*z wielu ukłonami*)

Łaskawy panie, staję tu ze wszystkiemi mie-

szkańcami całej wsi, aby córce naszego dziedzica, i przyszłemu zięciowi złożyć nasze powinszowania, i naszymi okrzyki szczęścia im życzyć.

E D W A R D.

Dobrze, dobrze panie wójcie.

W Ó J T.

Wasza Wielmożność będzie zadowolona, nauczyłem ich tak mocno krzyczeć *vivat*, ile tylko gardła wykrzyknąć zdołają.

E D W A R D.

Za wiele dobroci.

B A K A Ł A R Z.

A ja, *domine colendissime spectabilissimeque*, napisałem i nauczyłem się wiersza weselnego, wasza Wielmożność słuchając go, zarazem płakać i śmiać się będzie. Moje uczennice zaśpiwają także pieśń przyjemną, i pogodną, którą sąsiedzi o milę przynajmniej usłyszą.

W Ó J T.

Na wzgórkach kazałem poustawić moździerze; na odgłos tych wystrzałów serca zadrzą z radości.



B A K A Ł A R Z.

Ja poustawiałem moich bębnow w alei która do kościoła prowadzi, i zapowiedziałem im że ten dzień długo im będzie pamiętny...jeżeli śpiew weselny źle zaśpiewają.

E D W A R D.

Oh to będzie prześliczne, już się naprzód cieszę.

WÓJT. (*przedstawiając Edwardowi trzech wieśniaków*)

To są sołtysi naszej wsi. Kowal, piekarz i szewc, chcą całą wieś złożyć sercu Waszej Wielmożności.

E D W A R D.

Miałbym cokolwiek za wiele dźwigać.

K O W A Ł.

Oby wasza wielmożność doznawała ciągle łask fortuny...

P I E K A R Z.

I z godną familją.

K O W A Ł.

Obyście zawsze byli szczęśliwi...

P I E K A R Z.

I z godną familją.

K O W A Ł.

Obyście się widzieli w waszych prawnukach.

P I E K A R Z.

I z godną familją.

K O W A L.

Obyście niedoznali nigdy szczęścia...(n. s.)  
omyliłem się, zjedźże djabła.

P I E K A R Z.

I z godną familją.

E D W A R D.

Dość tego, dziękuję wam. (*dobywa woreczka i dzieli pieniądze*) Tym czasem moi dobrzy ludzie przyjmijcie tę drobnosikę, to dla dziewcząt na wstążki, już to niemi zawsze się opiekować będę...to dla muzykantów...to rozdzielisz panie wójcie między ubogich tej wsi.  
WÓJT. (*chowając worek do kieszeni, n. s.*)

'Ty jesteś najbiedniejsza ze wszystkich. (*głośno*) Otóż to wspaniały pan!

E D W A R D.

Teraz idźcie wszyscy na dziedziniec zamkowy, kazałem wam przygotować kilka beczek piwa pod wielką lipą, pijcie i bawcie się.

S T A R Z Y.

Pić, to przedziwnie!

M Ł O D Z I.

Bawić się, a to wybornie!

WÓJT. (*z wielu ukłonami do Edwarda*)

Co pić!..czekajcie, ja wam drogę pokażę, to do mnie należy; dzieci krzyczcie, *wiwa!*

W S Z Y S C Y.

Wiwat! (*odchodzą*)

## SCENA VII.

EDWARD, SPELT.

S P E L T.

To mi głowa!..tak jestem na niego rozgniewany!.. zobaczymy co powie. (*zbliża się do niego*) Dzień dobry panie Born. Bardzo pięknych, bardzo przyjemnych rzeczy dowiedziałem się o panu.

E D W A R D.

Cóż takiego?

S P E L T.

Opiekować się miłością przeciwko mojej woli, ułatwiać ucieczkę.

E D W A R D.

Wię wszystko. (*z samochwalstwem*) 'Tak panie Spelt, uczyniłem to i nie rumienię się mojego czynu. Podałem dłoń pomocną przyjaźni i miłości, i rozerwałem związek, któryby był pociągnął za sobą najsmutniejsze skutki.

SPELT. (*d. s.*)

Jeszcze się przechwala! (*głośno*) Ale czy pomyślałeś o tém, że ta panna którąś namówił do ucieczki ma ojca?

EDWARD.

*Sans doute*, ale właśnie ten ojciec jest najwinniejszym z nas wszystkich. Dla czego chciał swoją córkę oddać człowiekowi którego nie kocha; człowiekowi, który jak mi powiedziała Cecylja, jest tylko niesmacznym modnisiem? Ci wszyscy ojcowie którzy chcą przymuszać skłonność swoich dzieci, niechaj z tego zdarzenia przykład biorą.

SPELT.

Dobrze mówisz.

EDWARD.

Zresztą namówiłem tych dwoje kochanków aby się teraz rzucili do nóg ojca.

SPELT.

Oni też to uczynili.

EDWARD.

Jeżeli nie jest tygrysem, zapewne im przebaczy.

( 243 )

S P E L T.

Nie jest tygrysem...i przebaczył im.

E D W A R D.

Bravo! bravissimo!..Ale kto pana o tém wszystkim tak prędko uwiadomił.

S P E L T.

Wkrótce zobaczysz.

## S C E N A VIII.

CIŻ, FRYDERYK, KAROL, HELENA, CECYLJA,  
WIEŚNIACY i MUZYKANCI.

S P E L T.

Pójdźcie moje dzieci, i podziękujcie temu panu za dobrą naukę którą mi dał w tej chwili.

FRYDERYK, HELENA. (*idą trzymając się za ręce*)

E D W A R D.

Kochany teściu, *cher papa*, co to znaczy...  
co to jest...

S P E L T.

Skutek twoich tylolicznych starań i zabiegów panie Born...nie jestem tygrysem... (*łączy Fryderyka i Helenę*) Łączę tych którzy się kochają, i niechcę mojej córki do żadnego związku przymuszać.

H E L E N A.

Drogi ojcze!

E D W A R D.

Mogęż oczom moim wierzyć...

S P E L U T. 1

Helena kocha Fryderyka.

C E C Y L J A.

Tak panie! wtenczas kiedy sądziłeś że maie oddajesz w ręce Fryderykowi, nakłaniałeś do ucieczki własną swoją narzeczoną i oddałeś w objęcia kochanka.

E D W A R D.

Ale objaśnij mię Fryderyku.

F R Y D E R Y K.

Tobie winienem całe moje szczęście, ty sam zniewoliłeś mię abym wykraść twoją narzeczoną, pozwalałem ci powodować sobą, nie możesz się więc na mnie użalać.

E D W A R D.

Ale Cecylja.

C E C Y L J A.

Ja bylam niewinną pośredniczką, która



przyjęła wszystko na siebie, aby przyjaciółkę  
widzieć szczęśliwą.

EDWARD. (*do Heleny*)

To za wiele. (*do Karola*) A ty panie Moll.

K A R O L.

Ja kocham Cecylją.

E D W A R D.

Czy tak...Ah teraz się rozwidnia w mojej  
głowie, i gniewałbym się straszliwie, gdyby  
ten wypadek nie był tak śmiesznym. (*n. s.*)  
Edwardzie, popełniłeś wielkie głupstwo, *il  
faut faire bonne mine à mauvais jeu.* (*głośno*)  
Dzieci, bądźcie szczęśliwi! ja stałem się za  
was ofiarą, nie zapominajcie o tém; ale nie o-  
powiadajcie nikomu tego zdarzenia, bo w mie-  
ście gotowiby napisać z tego komedją, i ja  
stałbym się celem żartu. Ha! Muszę się po-  
cieszyć i mówiąc z całą skromnością, pocie-  
szam innych. Wieść że moje małżeństwo się  
rozchwiało wiele łez osuszy, i w stu rodzi-  
nach gdzie są panny na wydaniu znowu na-  
dzieja powróci.

C E C Y L J A.

Słusznie panie Born, ciesz się widokiem u-  
szczęśliwionych przez ciebie, to jest najwięk-  
szą roskoszą dusz szlacheckich!

KONIEC KOMEDJI I TOMU TRZYNASTEGO.



INSTITUT  
BADAŃ H. ERASMIUSZ PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-830 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

*Exemplarzy nieopatrzonych moją cyfrą  
prawnie poszukiwać będą.*

12







<http://rcin.org.pl>





RF  
1204  
13.